Cena 10 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nr. 8–9 Lublin, 12 listopada 1944 r. Rok I

ROMAN WERFEL

Listopady

Równo 124 lata trwała walka narodu polskiego o niepodległość. W toku tej walki zmieniało się oblicze społeczne kraju, zmieniały się warstwy społeczne kierujące tą walką, zmieniały się fronty walki i formy, w jakich ją toczono. Ale jeśli rozpatrywać sprawę pod kątem widzenia stosunku do walki o niepodległość, to pozostawał niezmieniony na całej przestrzeni tego czasu pewien zasadniczy schemat podziału wewnątrz społeczeństwa.

Istniała przedewszystkiem warstwa — czy może raczej grupa — która zasadniczo pogodziła się z zaborami i stała na stanowisku współpracy z zaborcami. Od Szczęsnego Potockiego, hetmana Targowicy, poprzez długi szereg Sapiehów i Potockich, dygnitarzy cesarsko-królewskiej monarchji Habsburgów i sławetnych „Admiralińskich" Wilhelma I z Koła Polskiego w Berlinie, ciągnie się długi rząd różnych zresztą poziomem intelektualnym, ideowym, moralnym nawet, ale zjednoczonych jedną podstawową myślą przedstawicieli tej koncepcji. Polska przepadła, i więcej — przynajmniej w jakimkolwiek dającym się przewidzieć czasie — nie powstanie. Trzeba urządzać się w ramach danego państwa zaborczego możliwie najwygodniej i najbardziej bezboleśnie. Tak możnaby streścić w dwóch zdaniach zasadniczą treść tej koncepcji. (Czy to „najwygodniej" oznaczało największą ilość, powiedzmy, szkół polskich czy też poprostu największą ilość ulg podatkowych dla folwarków określonego rodu — to zależało już od poziomu ideowego danego zwolennika tej koncepcji).

Poza tą grupą znajdowała się większość narodu. Powiedzmy ściślej — większość aktywnego politycznie narodu (chłop dopiero stopniowo wciągał się w walkę o Polskę). Ta większość zasadniczo nie chciała pogodzić się z faktem, że nazwa „Polska" zniknęła z mapy Europy. Ta większość chciała odbudowania niepodległego państwa polskiego. Ta większość była gotowa bić się o Polskę — i wielokrotnie biła się o nią.

Ale poprzez tę większość szła znowu określona linja podziału. Linja zacierająca się niejednokrotnie, linja nie zawsze uświadamiana sobie przez każdego z walczących. Ale niemniej linja wyraźna, niewątpliwie istniejąca. Chodziło o pytanie: na kim Polska ma się oprzeć w swej walce o niepodległość. Chodziło o pytanie: jaka ma być przyszła Polska.

Mocarstwa zaborcze miały wrogów w Europie. Mocarstwa zaborcze nawet między sobą znajdowały się niejednokrotnie w konflikcie. Turcja pozostawała stałym antagonistą Rosji i Austrji, Francja — Prus i Austrji, Anglja stała na straży europejskiej równowagi sił zakłócanej przez Rosję a później przez Prusy, Austrja patrzyła z niechęcią na sukcesy Rosji, — czy z wszystkich tych antagonizmów nie udałoby się uzyskać korzyści dla Polski, czy przy ogniu jakiegoś konfliktu między mocarstwami Polska nie mogłaby uzyskać niepodległości? Wśród niepodległościowców polskich uwijali się podrzędni agenci dyplomatyczni mocarstw (niekiedy — pospolici agenci wywiadu pracujący na obie strony), zawsze hojnie szafujący obietnicami, które nic nie kosztowały i do niczego nie zobowiązywały ich mocodawców. Ta koncepcja walki o niepodległość, walki w oparciu o mocarstwa niechętne lub wrogie mocarstwom zaborczym, albo przynajmniej części tych mocarstw — to koncepcja jednego kierunku, który od partji pruskiej Ignacego Potockiego w okresie Sejmu Wielkiego do uczciwych „aktywistów" lat 1914—1917 występuje w toku naszej walki niepodległościowej.

Koncepcja druga opiera się na fakcie innym. Mocarstwa zaborcze były bardzo długo mocarstwami absolutystycznemi, do końca — mocarstwami reakcyjnemi. W mocarstwach tych — jak zresztą w całej Europie — rozwijał się ruch postępowy, demokratyczny, rewolucyjny. Ten ruch z racji samych swych założeń ideowych występował w obronie Polski, z logiki własnego położenia i własnej walki stawał się sojusznikiem i towarzyszem broni niepodległościowców polskich. Związanie losów polskiej walki niepodległościowej z tym ruchem, z ogólnoeuropejskim postępem, ogólnoeuropejską demokracją, ogólnoeuropejską rewolucją — oto była druga koncepcja walki o niepodległość Polski, koncepcja drugiego skrzydła obozu niepodległościowego.

Ludy czy dwory? — tak stawiano kiedyś pytanie wśród Wielkiej Emigracji. Kombinacje dyplomatyczne czy międzynarodowy obóz postępu i demokracji? — tak stało pytanie na całej przestrzeni okresu rozbiorów.

Ludy — odpowiadają postępowcy, demokraci, socjaliści, odpowiada młoda, zapalna inteligencja, odpowiadają niepodległościowcy spośrod mieszczan, chłopów, spośród drobnej, spauperyzowanej szlachty. Przekradają się zwolennicy tej koncepcji do armji Republiki Francuskiej, by pod trójkolorowym sztandarem Jakobinów, pod dumnem godłem: „Ludzie wolni są braćmi" walczyć przeciw Prusom i Austrji — walczyć za Polskę. Giną polscy „żołnierze wolności" na barykadach całej Europy w gorące miesiące „wiosny ludów" 1848 r., giną w walce z Habsburgami i Hohenzollernami, z carską armją interwencyjną na Węgrzech, giną za Polskę. Za Polskę, w walce z reakcją francuską i patronującym jej Bismarckiem ginie jeden z czołowych organizatorów Powstania Styczniowego — „Łokietek", Jarosław Dąbrowski.

Ludy — odpowiada każdy z nich, bo chce, aby i w odrodzonej Polsce zwyciężyła ta ideologja, która stanowi i jego wyznanie wiary — postęp, demokracja, socjalizm, bo chce, by w odrodzonej Polsce doszła do głosu ta warstwa, z którą on związał swe losy: lud polski.

Dwory — odpowiadają panowie szlachta na ziemiańskich folwarkach, zamożni bankierzy w pałacykach, ta część wielkiej magnaterji, której sumienie nie pozwoliło pójść na targowicką drogę zaprzaństwa. To oni stworzą legendę o przyjacielu Polski wielkim Napoleonie, co armję księstwa warszawskiego oddał nie twórcy Legjonów „parwenjuszowi" Dąbrowskiemu, ale świetnemu „księciu Pepi", bratankowi Stanisława Augusta, wprost z wesołego pałacu pod Blachą powołanemu do funkcyj naczelnego wodza. To oni później stanowić będą niezmienną klientelę Czartoryskich, snuć niezliczone kombinacje, wyczekiwać zbawienia Polski od ciemnych szacherek Napoleona III i od wspaniałomyślności brytyjskiej Izby Lordów. „Dwory" — odpowiadają, bo i w odrodzonej Polsce chcą widzieć dwór u władzy — dwór królewski i dwór szlachecki, bo lękają się demokracji — „rządów czerni", rządów tłumu w Polsce.

A rezultaty dla Polski?

Co przyniosła Polsce wiara we „dwory"? Co dały Polsce dwory zagraniczne, spekulacje na konflikty między mocarstwami?

W latach 1863—4 demokracja angielska ostro piętnowała stanowisko konserwatywnego rządu, w praktyce, pomimo wielu uprzejmych słów, oddającego Polskę na pastwę caratu. Na jednej z demonstracyj niesiono olbrzymi kufer z napisem: „Nasza pomoc dla Polski". Kiedy jedna ze ścian kufra opadła, ukazywała się jego zawartość: gigantycznych rozmiarów kałamarz i nie mniejsze pióro. W tym złośliwym żarcie tkwi istota stosunku „dworów" do Polski.

Sporna wśród historyków jest kwestja intencyj Napoleona w stosunku do Polski. Ale całkowicie bezsporna jest i pozostaje strona faktyczna sprawy: fakt, że Napoleon eksploatował Polskę jako objekt swej politycznej gry, poświęcając ją za każdym razem interesom innym, bynajmniej z Polską niezwiązanym.

Pozostaje tragiczny w dziejach Polski obraz paryskiego „Hotelu Lambert" Czartoryskich. „Hotel Lambert" trzydzieści lat antyszambruje cierpliwie w przedpokojach kolejno zmieniających się rządów brytyjskich i francuskich reżymów, puka nawet — stale bezskutecznie — do drzwi wiedeńskiego gabinetu. „Hotel Lambert" chwyta się przelotnie rzuconego słówka, oferuje krew polskiego żołnierza portugalskim pretendentom do tronu i tureckim baszom, w nadziei, że krew przelana gdzieś w Afryce, pod Lizboną, czy na wschodzie Morza Śródziemnego, przyczyni się do wyzwolenia Wisły i Warty. Obraz ten tragiczny byłby godzien współczucia, gdyby zarazem tenże „Hotel Lambert" w imię przyjaźni dla „dworów" nie usiłował paraliżować samodzielnych wysiłków demokracji polskiej, nie osłabiał rozmachu wyzwoleńczej walki całego narodu.

Trudno zresztą mieć pretensje do Napoleona, do Palmerstona, do Napoleona III i do wiedeńskich hofratów o takie czy inne stanowisko wobec Polski. Każdy z nich prowadził politykę swego państwa — ściśle mówiąc — warstwy panującej swego państwa. A ze stanowiska tej warstwy—Polska to były dalekie wschodnie kresy Europy, gdzie realne interesy ówczesnej Wielkiej Brytanji, czy bonapartystowskiej Francji były minimalne. Realne interesy — to były Ren i Pad, to było Morze Śródziemne, Afryka Północna, Bliski Wschód. Polska — to był objekt wymienny. Objekt, którym zajmowano się w chwili, gdy trzeba było wydusić coś w tamtych, realnych sprawach od północno-wschodniego partnera i caratu, i o którym zapomniano, gdy osiągnięto, co można było osiągnąć.

Zwolennicy orjentacji na „dwory" zapominali, nie chcieli pamiętać o tem, że interesy tych dworów nie były bynajmniej zbieżne z interesami Polski. I tu tkwi źródło ich niepowodzenia. Orjentacja na „dwory" była fałszywa, bo polegała na wierności przyjaciołom, którzy nie byli przyjaciółmi.

Inne, zasadniczo inne, było położenie zwolenników orjentacji na „ludy".

Demokraci polscy, opierający walkę wyzwoleńczą narodu o sojusz z międzynarodową demokracją, stali właśnie na twardym gruncie realnej wspólnoty realnych interesów. Mocarstwa zaborcze: carat, Prusy Hohenzollernów, Austrja Habsburgów stanowiły ostoję ogólnoeuropejskiej reakcji.

Jeden wróg gnębił Polskę i tych, z którymi sojusz polscy demokraci zawierali. Każdy cios, zadany temu wrogowi, był ciosem zadanym w interesie zarówno Polski jak i międzynarodowej demokracji.

Nie tylko względami ideologicznemi, ale też interesem walki z caratem kierowali się dekabryści rosyjscy, kiedy na kilka lat przed Powstaniem Listopadowem umieszczali w swym programie żądania przywrócenia Polsce niepodległości.

Nie tylko ideologicznemi względami, ale i interesem własnej walki z niemiecką reakcją kierowali się Marks i Engels, kiedy w 1848 roku wbrew rykowi niemieckich szowinistów bronili polskości Poznańskiego i Pomorza przeciw zaborczości ówczesnych poprzedników hakaty.

Nie tylko ideologicznemi względami, ale też interesem własnej walki o demokrację kierował się lud Parvża, kiedy w każdem swem powstaniu podnosił hasło solidarności z Polską, pomocy Polsce Walczącej.

Nie tylko ideologicznemi względami, ale też interesem własnej walki o wolność rosyjskiego ludu kierował się Aleksander Herzen, gdy solidaryzował się z polskiem Powstaniem Styczniowem, kierował się jego druh i towarzysz ideowy Aleksander Potiebnia, rosyjski demokrata, gdy w szeregach polskich powstańców szedł na śmierć pod Piaskową Skałą.

Nie tylko ideologicznemi względami, ale też interesem własnej walki o zwycięstwo ludu rosyjskiego kierowali się bolszewicy, kierowali się Lenin i Stalin, kiedy od pierwszej chwili swej działalności bronili prawa Polski do niepodległości.

Nie była fałszywa orjentacja na „ludy" polskiego obozu postępu, polskiego obozu socjalizmu. Międzynarodowy postęp, międzynarodowa demokracja, międzynarodowy socjalizm były wiernymi przyjaciółmi Polski, bo walka Polski była ich własną walką, bo interes Polski był ich własnym interesem.

Nie zdołał wyzwolić Polski w XIX w. sojusz z międzynarodową demokracją nie dlatego, że międzynarodowa demokracja nie chciała pomóc Polsce. Przyczyna była inna: międzynarodowa demokracja nie mogła pomóc Polsce, bo sama była za słaba, bo sama ulegała w walce z reakcją.

Przez 120 zgórą lat carat rosyjski był głównym gnębicielem Polski i ostoją reakcji w całej Europie. Przez 120 zgórą lat carskie bagnety dławiły każdy odruch niepodległościowy w Polsce, ciążyły ponurą chmurą nad każdym ruchem wolnościowym w Europie. Rewolucja rosyjska skończyła bezpowrotnie z tym stanem rzeczy. Ostatecznie zniszczono te warstwy społeczne, na których opierał się carat: obszarnictwo i wielką finansjerę. Do władzy w Rosji doszli ci, co dzielili z polskimi niepodległościowcami długie noce sybirskiego zesłania i carskiej katorgi. Od tej chwili Rosja przestała być mocarstwem zaborczem.

Jeszcze wiosną 1917 Petersburska Rada Delegatów Robotniczych — (zasiadali w niej wtedy m. in. Stalin i Mołotow) — specjalną rezolucją zadeklarowała swą wolę zwrócenia Polsce niepodległości. Jednym z pierwszych aktów władzy radzieckiej była (pisana przez Stalina) „Deklaracja Praw Narodów Rosji", przyznająca prawo do niepodległości każdemu dotąd przez carat ujarzmionemu narodowi. A w stosunku do Polski, by usunąć wszelkie nieporozumienia, ogłoszona została jeszcze na szereg miesięcy przed 11 listopada uroczysta deklaracja, anulująca wszystkie traktaty rozbiorowe, rezygnująca formalnie ze wszystkich pretensyj do ziem etnograficznie polskich. Rewolucja rosyjska potwierdziła słuszność stuletniej orjentacji na „ludy" obozu polskiej demokracji, polskiego postępu. Od jej strony żadne niebezpieczeństwo nie groziło narodowi polskiemu w jego walce o niepodległość. Siódmy listopada 1917 w Rosji przygotował wskrzeszenie Polski, przygotował szósty i jedenasty listopada 1918 r.

Przygotował w jeszcze jednym sensie. Rewolucja rosyjska nie tylko obaliła cart, nie tylko obaliła panowanie wielkiego kapitału i obszarników w Rosji. Rewolucja rosyjska wstrząsnęła posadami ogólnoeuropejskiej reakcji, posadami obu pozostałych mocarstw zaborczych: Niemiec wilhelmowskich i habsburskiej Austrji. Jeśli padły one w gruzy w rok po wielkim listopadzie, to był to rezultat nie tylko aljanckich ciosów, ale i działania listopada. Świadczy o tem wymownie cały powojenny przebieg wypadków.

Szeroko rozlała się po Europie fala ruchów demokratycznych. Padły monarchje Habsburgów i Hohenzollernów. Powstały demokratyczne państwa narodowe Słowian zachodnich: Czechów i Słowaków i Słowian południowych. Ruch robotniczy zajął jedno z czołowych miejsc w życiu politycznem Europy. Czy wszystko to było do pomyślenia, czy wszystko to byłoby możliwe bez obalenia caratu, bez głębokiego zasadniczego wstrząsu na wschodzie Europy?

I nasze odrodzenie było częścią składową ogólnoeuropejskiej fali ruchów demokratycznych, ruchów ludowych, narodowych ruchów wyzwoleńczych. Jedenasty listapada poprzedza szósty listopada. Wyzwolenie Warszawy poprzedza rząd lubelski, rząd, który sam nazwał się rządem ludowym, rząd, który w swym manifeście zapowiedział, że odda ziemię chłopu a fabryki robotnikom. A kiedy Warszawa zrzuciła władzę niemieckiego okupanta, na czele pierwszego rządu Rzeczypospolitej stanął człowiek, który oficjalnie był członkiem Polskiej Partji Socjalistycznej, a głównym organem rządu było pismo, które nazywało się „Robotnik", i w swym nagłówku głosiło hasła „Niech żyje rząd robotniczo - włościański" i „Proletarjusze wszystkich krajów łączcie się". Wszystko to jest niezwykle charakterystyczne dla atmosfery owej doby, świadczy o nastrojach, wśród jakich rodziło się nasze odrodzone państwo. Wszystko to stanowi niewątpliwy dowód, że jeśli słuszna była pierwsza teza polskiej demokracji niepodległościowej, iż międzynarodowy obóz postępu i demokracji to jedyny realny sojusznik Polski, to słuszną okazała się i druga teza, że lud polski będzie tą główną siłą, która swym własnym czynem powoła do życia odrodzone państwo polskie i która powinna decydować o jego przyszłem obliczu.

Niestety — wiemy, że później wypadki potoczyły się inną koleją. Wiemy, że w rządzie lubelskim zasiadali różni ludzie. Razem z li-

(Dokończenie na stronie trzeciej)

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

Z poematów

Z okazji 27 rocznicy Wielkiej Rewolucji Rosyjskiej, dajemy przekłady utworów największego jej poety

Z poematu „Obłok w spodniach“ [1]

Ja
wyszydzony przez plemię wasze,
jak długa
obmierzła anegdota,
widzę nadchodzącego poprzez góry czasu,
którego nie widział nikt dotąd.

Gdzie urywa się krótki wzrok ludzki,
głodnych hord wyprzedzając krok,
w cierniowym wieńcu rewolucji
nadciąga szesnasty rok.

A ja — jego przedświt proroczy,
gdzie ból, jam wszędzie w pobliżu,
w każdej kropli wytoczonej z oczu
rozpiąłem siebie na krzyżu.

Już nie będzie przebaczenia w niczem.
Czułość w duszach waszych wypaliłem,
to trudniejsze jeszcze niż zdobycie
tysiąca tysięcy Bastylji!

I kiedy
buntem
głosząc jego imię
wyjdziecie na spotkanie Zbawiciela,
ja wam
duszę wyciągnę,
rozdepczę,
w — olbrzymią!
i dam okrwawioną jak chorągiew.

przełożył **Mieczysław Jastrun**

[1]) Poemat napisany w roku 1914-1915.

Z poematu „Włodzimierz Iljicz Lenin“ [2]

Ów rok
zobaczył
czego nie ujrzy wiek.
Dzień
poniesie
w stulecia
posępne podanie.
Groza
z żelaza
wydarła jęk.
Po bolszewikach
przeszło łkanie.
Ciężar okropny!
Każdy siebie
wlókł jak kamień.
Czemu tają —
kiedy i jak? —
Wieści przynieść!
Jak katafalk
przez ulice
zaułkami
Teatr Wielki
płynie.
Ślimakiem
pełznie radość.
Nieszczęścia
wściekły bieg.
Ni słońce,
ni lodu bladość —
przez sito gazet
zadął
i zasypał
czarny śnieg.
Na robotnika
natarła wieść
w warsztacie.
Kula wgłąb czaszki.
I jakgdyby ktoś
szklankę łez
wywrócił i narzędzia zaszklił.
I chłopek,
co widział niejedno,
śmierci
w oczy
spoglądał wiele razy,
odwrócił się od bab,
zdradził go jednak
kułakiem roztarty
brud na twarzy.
Byli ludzie — jak krzemień,
a przecież
gryźli usta
wargi poczwarząc.
Jak staruszkowie
spoważniały dzieci
i jak dzieci
płakali starzy.
Wiatr brał
całej ziemi
bezsenność
w poświst,
nie mogła
zbuntowana
domyśleć do końca,
że to trumna
w zimnym
pokoiczku Moskwy
rewolucji
i syna i ojca.
Koniec,
koniec,
koniec.
Kto jeszcze
nie wierzy!
Szkło —
a pod trumną szklaną...
Oto
niosą go
w ulic przestrzeń
poprzez miasto,
które zabrał panom.
W ulicy,
jak w rozdartej ranie,
ból tak jątrzy,
tak jękiem przenika.
Tutaj
Lenina
zna każdy kamień
z tupotu
pierwszych natarć
października.
Tutaj
wszystko, co każdy sztandar
wyszył
z jego myśli
przeciwko wrogom.
Tu
Lenina
każda wieża jeszcze słyszy,
za nim
poszłaby
i w dym, i w ogień.
Tutaj
każdy robotnik
zna
Lenina,
serce dlań
witkami jedlin wykłada.
W bój prowadził,
zwycięstwo wieścił nam
i oto
proletarjusz —
wszystkiem włada.
Tu
każdy chłop
Lenina wpisał imię
w serce
mocniej
niż dziewczątko miłość.
On grunta
kazał nazwać
swojemi,
o czem się dziadom
w trumnach
zasieczonym śniło.
I komunardzi
spod Czerwonego Placu,
rzekłbyś,
szepczą:
— Kochany i drogi!
Żyj —
a przecież los
piękniejszy naco —
sto razy zetrzemy się
i padniemy do mogił!
Gdyby dziś
cudotwórcy
zabrzmiały słowa głośne,
że trzeba, byśmy zmarli —
ażeby jego zbudzić—
to brzemię ulic
pękłoby naoścież
i z pieśnią
w śmierć
runęliby ludzie.
Lecz cudów niema,
myśli daremnie biegną.
Jest Lenin,
trumna
i zgięte plecy.
Człowiekiem był
do końca człowieczego —
nieś
i dręcz się,
smutku człowieczy.
Nigdy jeszcze
skarbu takiego
nie niósł
grzbiet
oceanów naszych,
jak ta trumna
do Domu Związków
czerwienią
płynąca
na plecach szlochów i marszy.

przełożył **Piotr Kożuch**

[2]) Poemat napisany w roku 1924.

Most Brookliński [3]

Z radości krzycz,
prezydencie Coolidge,
na to, co dobre
ja krzywo nie zerkam.
Od pochwał
kraśniej
jak sztandar naszej półkuli,
choć wy —
nad-United States
of
America.
Jak zelant oszalały
zapuszcza się
w kościół,
jak idzie
do pustelni
na chłostę i post —
tak ja
w kłębowisku wieczornej szarości
pokorny
wchodzę na Brookliński most.
Jak wjeżdża
zwycięzca
w twierdzę rozgromioną
na działach — lufami
na żyrafy wzrost —
tak sławą upity,
tak, z dziką oskomą,
wspinam się,
dumny,
na Brookliński most.
Jak w madonnę z muzeum
głupkowaty malarz
wbija wzrok zakochany
ostro i nawprost,
tak ja,
z podniebia,
gwiezdnego podwala
patrzę na New York
przez Brookliński most.
Miasto
do zmierzchu ciężkie
i duszne,
zapomniało
o cielsku ciężkiem
i wysokiem,
i tylko zle licho,
strzygi zaduszne —
wstają
w przejrzystem świeceniu okien.
Tu
ledwie dociera
chrzęst elewatora.
I tylko
po cichym,
mrowiącym chrzęście
poznasz —
to brzęczą
pociągi na torach,
jakby kto
chował statki w kredensie.
A kiedy,
rzekłbyś, z pod rzeczki mulastej
z fabryki
cukier
zwozi sklepikarz —
to
przechodzące pod mostem maszty,
do których
miarkę szpilek przytykasz.
Z dumą
oglądam
tę stal na milę,
w niej moich wizyj
jest żywe mięso —
walka o konstrukcję
zamiast stylów,
rachunek surowy
śrub
i przesęł.
A jeśli
koniec
świata nastanie,
planetę
chaos
rozpławi na wosk,
i tylko
ten jeden
ostoi się na niej
nad prochem zagłady zdębiony most,
to
jak się z ości
najcieńszych kleci
jaszczury
w muzeach puchnące,
tak
z tego mostu
geolog stuleci
potrafi
wysnuć
dni naszych koncept.
I powie:
— Ta właśnie
stalowa łapa
morze i prerje
łączyła w najlepsze.
Tędy
Europę
na Zachód gnał zapał
strzępiący
jej pióra indjańskie
na wietrze.
To przęsło
maszyną
było ci przedtem —
pomyśl
gołemi rękami mógł-li,
wsparłszy
stalową stopę
w Manhattan,
za wargę
ciągnąć
do siebie Brooklyn?
Z sieci elektrycznej
łatwo odgadnąć,
jaka to
epoka —
już i dopiero —
wiem,
tu już
ludzie
wrzeszczeli przez radjo,
wiem,
tu już
ludzie
wzlatywali w aero.
Tu
życie
było
dla jednych — ucztą tłustą,
dla innych —
przeciągły
skowyt głodu.
Stąd bezrobotni
do rzeki Hudson
skakali
głową
do spodu.
A dalej
mój obraz
bez cienia nawiązki,
po strunach — powrozach
aż gwiazdom do pował.
Widzę ja —
tutaj
stał Majakowski,
stał tu
i głoskę z głoską rymował.
Patrzę,
jak w pociąg patrzy eskimos,
wpijam się sztorcem
jak w gardło ość.
Broo-kliń-ski — most
tak...
To jest coś!

przełożył **Adam Ważyk**

[3]) Drukowany 31 grudnia 1925.

(Dokończenie artykułu ze strony 1-ej)

stonoszami, wiozącymi podpisany przez Daszyńskiego manifest głoszący oddanie chłopu pańskiej ziemi, jechały pacyfikacyjne oddziały ułanów Rydza-Śmigłego, które kolbami uczyły chłopa i fornala respektu dla obszarniczych folwarków. Jędrzej Moraczewski był przedewszystkiem kapitanem swego „Naczelnika"; pamiętamy, jak w dobie sanacji wślad za Piłsudskim wyskoczył on z „czerwonego tramwaju" PPS. Ciemne siły zepchnęły Polskę odrodzoną z drogi wytkniętej jej przez demokratów Wielkiej Emigracji, „Stronnictwa Ruchu", Powstania Styczniowego, bohaterów barykad 1905 r. Poprzez drugo-oddziałowe „siuchty", poprzez uroczyste przyjęcia po ziemiańskich dworach — Polska stała się znowu folwarkiem garści uprzywilejowanych.

Pozostawiliśmy w roku 1920 własnemu losowi robotnika Górnego Śląska i chłopa znad jezior Mazurskich. Ale rzuciliśmy żołnierza polskiego pod Kijów, do walki o latyfundja Potockich i Radziwiłłów. Sanacyjna dyktatura miała obelgi dla Sejmu Rzeczypospolitej i bat dla narodu, ale uprzejmy uśmiech dla uczestników nieświeskich bankietów. Odrodzenie Polski było częścią ogólnoeuropejskiej klęski reakcji, ale koła oficjalne odrodzonej Polski entuzjazmowały się generałem Franco, robiły reklamę Mussoliniemu, zapraszały w gości Goeringa, Goebbelsa i Himmlera. Aż przyszedł wrzesień 1939 r.

W ogniu wielkiej wojennej burzy zdają egzamin państwa, narody, reżymy. W ogniu wielkiej wojennej burzy zdawaliśmy egzamin — my, zdawała egzamin Nowa Rosja.

Nowa Rosja zdała go na celująco. Zdał naród wielki, bohaterski „naród stu narodów". Naród, który na ołtarzu tej wojny złożył hekatomby ofiar wielokrotnie większych od ofiar któregokolwiek narodu. Naród, który bez szemrania wyrzekł się nieraz tego, co najpotrzebniejsze, trwał w fanatycznym, uporczywym, zapamiętałym trudzie, naród, który hasło „Wszystko dla frontu, wszystko dla zwycięstwa!"—potrafił zmienić w żywą rzeczywistość. Ale zdał przedewszystkiem — i to jest najważniejsze — reżym, który potrafił ten wysiłek narodu przygotować, zorganizować i poprawić. Wystarczy porównać sytuację Rosji w 1917 r. po dwóch latach wojny z bez porównania wtedy słabszemi Niemcami wilhelmowskiemi z sytuacją Rosji dziś. Na polach bitew pod Stalingradem, Kurskiem, Kijowem, Belgradem, Budapesztem przewrót listopadowy 1917 roku zdobywa sobie legitymację wobec historji, świadectwo, że dobrze przysłużył się narodom dawnego państwa carów, że poprowadził je do zwycięstwa.

A my?

I nasz naród zdał egzamin wielkiej dziejowej próby. Dalecy jesteśmy od pseudopatrjotycznej tromtadracji. Wiemy, że Hitler nie znalazł u nas Quislinga przedewszystkiem dlatego, bo go nie szukał, że różni Kozłowscy, Ronikierzy, Burdeccy palili się do funkcyj przedstawiciela na Polskę hitlerowskiego „Nowego Ładu". Wiemy, że spore warstwy naszego mieszczaństwa zatruł faszystowski jad, znęciło zbrukane krwią hitlerowskie złoto. Ale wiemy zarazem, że wszystko to — to tylko piana na powierzchni życia narodu, że podstawowy trzon narodu pozostał zdrowy, wytrwał w walce o Polskę, w walce o wolność. Świadczą o tem groby partyzanckie rozsypane po piaskach Mazowsza, lasach Kielecczyzny, błotach Podlasia. Świadczą o tem mogiły żołnierskie pod białoruskiem Lenino, na włoskiem Monte Cassino, na cmentarzach Pragi. Świadczy o tem odradzająca się dziś wielka Armja Polska i rozmach budownictwa państwowego na ziemiach wyzwolonych. Polska dziś, jak za ojców naszych, stoi i walczy w obozie wolności.

Ale czy zdał egzamin dziejowej próby reżym, warstwa rządząca, która rozpanoszyła się w Polsce przedwrześniowej? Nie chodzi tu tylko o brak odwagi bohaterów przysłowiowej „szosy zaleszczyckiej". Chodzi o politykę, o widnokrąg. Czy byliśmy przygotowani do wojny? Czy szliśmy przez dwadzieścia zgórą lat niepodległości drogą wiodącą do siły i zwycięstwa? Czy byliśmy przyjaciółmi naszych rzeczywistych, naturalnych przyjaciół, czy staraliśmy sparaliżować naszych rzeczywistych, naturalnych wrogów?

Każde z tych pytań to fragment aktu oskarżenia. Aktu oskarżenia reakcji, która zamieniając Polskę w swój własny folwark przygotowała klęskę kraju i źle się przysłużyła narodowi.

A źródłem tego wszystkiego jest jeden fakt: że wtedy, w latach 1918 i 1919, Polska zrodzona przez wielki, ogólnoeuropejski nurt demokratycznych ruchów ludowych, dała się zepchnąć na manowce reakcji. Ten fakt nie powinien się powtórzyć. Polska nie potrzebuje szukać obcych wzorów. Polska powinna iść własną, polską drogą. Ale ta polska droga musi być drogą ludu polskiego, drogą polskiej demokracji, drogą polskiego robotnika, chłopa, inteligenta. Tylko tędy prowadzi droga do silnej Polski.

Roman Werfel

JERZY PUTRAMENT

Sztuka wojenna 1939-1944

O ile w 1914 roku starły się ze sobą armje mniej więcej jednakowo uzbrojone (jedną poważniejszą różnicą była przewaga Niemców w ciężkiej artylerji), jednakowo szkolone i dowodzone przez generałów wyznających tę samą w gruncie rzeczy doktrynę wojenną, o tyle w 1939 roku armje, które rozpoczęły wojnę, różniły się między sobą zarówno co do uzbrojenia, jak i co do doktryny wojennej. Nie były to armje tej samej epoki.

Możnaby wyróżnić trzy doktryny wojenne, leżące u podstaw armij, które w 1939 r. rozpoczęły działania.

OD KARABINU MASZYNOWEGO DO LINJI MAGINOT

Francuska doktryna zbudowana została na spóźnionej o ćwierć wieku wierze w karabin maszynowy, wogóle w przewagę obrony przed natarciem. Wiarę tę Francuzi okupili setkami tysięcy żołnierzy w 1915, 1916, 1917 r. przed zasiekami z drutu kolczastego skoszonych przez nieprzyjacielskie karabiny maszynowe. Dotąd nic — ani doświadczenia wojny rosyjsko - japońskiej, ani czysto teoretyczne rozważania o możliwościach karabinu maszynowego nie potrafiły uzmysłowić francuskim generałom (jak również zresztą i niemieckim), że dotychczasowe wyobrażenia o wojnie, jako o serji masowych ataków piechoty i kawalerji, są przestarzałą bajeczką. Umysły generalskie okazały się dziwnie ciasne. Zabrakło w nich miejsca choćby na odrobinę wyobraźni. Jak dzieci, których dopiero wsadzenie palca do pieca uczy, że ogień piecze, generałowie nie umieli pogodzić się z zastraszającą potęgą karabinu maszynowego, dopóki ten nie wykosił im całych armij.

Zato gdy już raz uwierzyli w tego nowego boga wojny, nic nie potrafiło ich z tej wiary uleczyć. Złośliwość historji polega na tem, że w umysłach generalskich karabin maszynowy zwyciężył dopiero wtedy, gdy znalazła się już na niego odtrutka. Czołg, pomyślany jako broń co oczyszcza drogę do ataku piechocie przez zniszczenie zasieków kolczastych i gniazd karabinów maszynowych, nie zdążył jednak przed końcem wojny udoskonalić się na tyle, by przekonać generałów francuskich o swej mocy. Zato generałowie niemieccy, którzy go na własnej skórze odczuli, odnieśli się do niego inaczej.

W rezultacie francuska myśl wojenna zakrzepła w kręgu doświadczeń pozycyjnego okresu pierwszej wojny światowej. Francuscy stratedzy mieli dosyć czasu, by doprowadzić do ideału system obronny z pól Pikardji czy Flandrji. Ideałem tym stała się „linja Maginot". Mniejsza o to, że linja ta, niedoprowadzona do morza, była zawieszona w próżni, była sama przez się absurdem. Nie ulega wątpliwości bowiem, że i w wypadku, gdyby sięgała od Nicei do Dunkierki, — doprowadzony do ostateczności, energiczny i dobrze uzbrojony nieprzyjaciel mógłby ją przełamać.

Cała historja wojen, od legendy trojańskiej poczynając, uczy, że ten kto się tylko broni, musi przegrać. Obrona ma sens tylko wówczas, gdy jest w ten czy inny sposób (zysk na czasie, osłabienie nieprzyjaciela i t. d.) przygotowaniem ataku. Francuska doktryna wojenna z 1939 roku jest przykładem zdumiewającego upadku myśli wojennej w narodzie, który wydał przecież Napoleona i Focha, dwóch nowoczesnych apologetów ducha ofensywnego.

Charakterystyczne, że to nie Niemcy obalili doktrynę „linji Maginot". Niemcy tylko oskrzydlili tę linję, dowiedli tylko, że ta myśl nie jest doprowadzona do końca, a nie — że jest u swoich podstaw fałszywa. Ideę „linji Maginot" obalili w marcu 1940 roku Rosjanie, przełamując w o wiele trudniejszych warunkach klimatycznych i terenowych „linję Mannerheima", zrobioną „na obraz i podobieństwo" swej starszej siostry francuskiej, ale udoskonaloną i lepiej wmontowaną w teren, bo opartą z jednej strony o morze, z drugiej o olbrzymie jezioro Ładoga.

MANEWR PIESZO

Pojęcia, które Rydz-Śmigły wziął za podstawę swoich koncepcyj strategicznych przed wrześniem 1939 (trudno je nazwać doktryną), różniły się od francuskich, były nawet swoistem ich zaprzeczeniem.

W 1919 roku na froncie wschodnim kilku polskich generałów zastosowało metody, które się właśnie ustaliły we Francji. Była to klasyczna taktyka linearna, nakazująca budowę nieprzerwanych linij okopów co pewien czas wzmocnionych gniazdami oporu, i rozprowadzenie oddziałów proporcjonalnie do długości danego odcinka frontu. We Francji opracowano bardzo dokładne normy, ile karabinów maszynowych, ile dział, ile moździerzy wypadać powinno na każdy kilometr „bieżący" okopów. Generałowie w Polsce nauczyli się tych norm, zapominając o drobiazgu — o tem, że armja polska była na froncie wschodnim ze 20 razy słabsza niż francuska na zachodnim, front zaś był 2—2 1/2 razy dłuższy. W rezultacie front ten przedstawiał się jak cieniutka linijka, łatwa do przerwania w każdym niemal punkcie, przyczem przerwanie było prawie nie do naprawienia ze względu na brak odwodów, które musiano zużyć do obsadzenia pierwszej linji.

Piłsudski (z pewnem opóźnieniem, bo już po przełamaniu tak „zbudowanego" frontu) ostro zaatakował wyznawców tej osobliwie pojętej „doktryny" francuskiej, głosząc zamiast zasady „trzymania" całego frontu, obsadzenie większemi siłami decydujących kierunków i głębokie rzutowanie odwodów.

Te koncepcje, zrozumiałe i wzorowane zresztą na ówczesnych metodach sowieckich — np. masowanie kawalerji i swoista „motoryzacja" piechoty, posadzonej na wozy, „taczanki" z karabinami maszynowemi i t. d. — bez większych zmian przetrwały w umyśle ucznia i następcy Piłsudskiego, Rydza-Śmigłego.

Charakterystyczne, że po przewrocie majowym Piłsudski zahamował pewne, nieznaczne zresztą, tendencje modernizacji armji polskiej, zwłaszcza w dziedzinie lotnictwa. Rydz-Śmigły także i w tej dziedzinie naśladował Piłsudskiego.

W rezultacie we wrześniu 1939 r. armja polska wyruszyła do wojny tak, jakby ta wojna miała być powtórzeniem wojny 1920 roku. Oczywiście, piechota była lepiej uzbrojona niż w 1920 roku, miała więcej karabinów maszynowych, ciężkich i lekkich, oczywiście, zaopatrzenie żołnierza było lepsze. Ale cała konstrukcja armji, ale „doktryna" wojenna była taka sama. Sprowadzała się ona do szeregu wyobrażeń o bitwach spotkaniowych, o manewrach odwrotowych, o kontrofensywach zmasowanych odwodów z chwilą skrystalizowania się głównych kierunków nieprzyjacielskiego natarcia — a wszystkich tych manewrów miała dokonać armja wielokrotnie powolniejsza od swego nieprzyjaciela i w gruncie rzeczy wobec niego bezbronna. Była to także armja karabinu maszynowego.

Ta „doktryna" także była oparta na idei obrony, ale — w przeciwieństwie do francuskiej — obrony czynnej, ruchomej. Piłsudski bardzo się interesował tym typem operacji, za wzór biorąc pierwsze kampanje włoskie Napoleona (zwłaszcza 1796 — 1797). Łatwo można zrozumieć te zamiłowania, przypomniawszy sobie, że wielki Korsykańczyk w tych kompanjach zwyciężył silniejszego nieprzyjaciela, wiążąc manewrem odwrotowym słabszych odwodów jedną z jego kolumn i głównemi siłami energicznie atakując inną. Idea tych kampanji polegała na rozczłonkowaniu nieprzyjaciela na oderwane od siebie części i biciu ich pokolei. Polityczne koncepcje Piłsudskiego zmuszały go do przewidywania takich sytuacyj wojennych, kiedy nieuchronnie będzie miał do czynienia z silniejszym nieprzyjacielem. Nic dziwnego, że szukał w historji przykładów dawania sobie rady z taką, nawet bardzo znaczną przewagą.

Ale do tego trzeba było mieć genjusz Korsykańczyka. A jeszcze bardziej: trzeba było mieć armję nowoczesną, wyższą jakościowo, ożywioną duchem postępowym. Bez tego cała koncepcja stawała się awanturą.

PRZYPADEK WZIĘTY ZA REGUŁĘ

Cała koncepcja polityczna Piłsudskiego, określająca jego pojęcia o wojnie, była też w gruncie rzeczy awanturą. Polska leży między dwoma państwami, które od dwóch i pół wieków stały się europejskiemi potęgami. Istnienie Polski, jako samodzielnego państwa zależy od ułożenia jak najlepszych stosunków przynajmniej z jednem z tych mocarstw. Nienawiść Piłsudskiego do Rosji sprawiła, że w 1914 roku postawił wszystko na kartę niemiecko-austrjacką. Na szczęście dla Polski, klęska Niemiec uratowała nas od wchłonięcia przez germański imperjalizm, co byłoby jedyną konsekwencją orjentacji Piłsudskiego.

Osłabienie Rosji sprawiło, że Piłsudski mógł sobie pozwolić na nieliczenie się ze wschodnim sąsiadem. Wprawdzie awantura kijowska powinna była stać się groźnem ostrzeżeniem, ale późniejsze powodzenia zatarły w jego umyśle nauki z tej awantury płynące.

Wyjątkowy raz na wieki się zdarzający zbieg okoliczności historycznych w 1918 roku sprawił, że obie sąsiadujące z nami potęgi były osłabione do reszty. Ale tę konjunkturę Piłsudski pojął jako stały, niezmienny czynnik historyczny. To co było zaćmieniem słońca, wydało mu się jego zmierzchem. Budował swoją politykę zagraniczną na przekonaniu, że zawsze będzie miał do czynienia z Rosją 1920 roku.

Dodajmy do tego niski potencjonał przemysłowy Polski, nielubiany i nieszanowany przez naród reżym polityczny, zdradziecką politykę zagraniczną, wreszcie ograniczoność i despotyzm Rydza-Śmigłego, a ujrzymy jak potwornie utrudniono armji polskiej zadanie bojowe we wrześniu.

„Doktryna" Rydza we wrześniu była groteskowem i tragicznem nieporozumieniem. W czasie była spóźniona o 20 lat, w przestrzeni pomylona o 180 stopni. Armja, która starła się z Niemcami w 1939 r., szykowana była do wojny z Rosją roku 1920.

PLUSY TRUDNEJ KLĘSKI

Niemcy nie mieli tego balastu powodzenia, nie ciążyła nad nimi tradycja wielkiego zwycięstwa, inercja zasad, które w 1918 roku okazały się słuszne. Budowali armję odnowa i u podstaw tej armji położyli wiarę w broń, której znaczenie dotkliwie odczuli w dniach swojej klęski.

Bronią tą miały być czołgi i lotnictwo. Udoskonalenia techniczne czołgu pozwoliły na rozszerzenie jego roli wojennej. Generalicja niemiecka, po doświadczeniach hiszpańskich, poszła na maksymalną rozbudowę broni pancernej, przeznaczając jej już nie zadania taktyczne, ale operacyjne i nawet strategiczne. Czołg, który w 1918 r. był tylko przewodnikiem piechoty przez pas ognia karabinów maszynowych, teraz miał stać się bronią, która samodzielnie rozwiązuje zadania operacyjne w głębi nieprzyjacielskiej obrony i na jej tyłach przez paraliżowanie i niszczenie całego, tak skomplikowanego w obecnej wojnie zaopatrzenia i zasilania wojsk pierwszej linji. Czołgi były zmasowane, połączone w duże jednostki do korpusów włącznie, z własnym aparatem dowodzenia, z własnemi służbami pomocniczemi, słowem stworzono z nich formacje, zdolne do samodzielnego przeprowadzania operacyj, nawet w oderwaniu od własnej piechoty i artylerji. Rolę artylerji miało wobec czołgów spełniać lotnictwo.

Jedną z najistotniejszych nowości tej doktryny był radykalny wzrost głębokości pasa bezpośrednich działań wojennych. To co w 1918 roku ograniczało się do kilkunastokilometrowego zasięgu ciężkiej artylerji, teraz teoretycznie, dzięki lotnictwu, stało się prawie nieograniczone. Szybki manewr broni pancernej, desanty powietrzne i t. p. przewróciły dotychczasowe pojęcia o froncie i zapleczu. Tempo operacyj wzrosło niebywale. Gwałtowność bitwy w głównym kierunku uderzenia szła w parze z absolutnym nieomal spokojem na odcinkach oskrzydlanych.

Postęp techniczny usunął nienaturalne, przypadkowe formy taktyczne pierwszej wojny światowej. Elementem strategicznym, zamiast linearnie pojętego odcinka frontu, znowu się stał kierunek — kierunek uderzenia na centra komunikacyjne, zaopatrzeniowe, polityczne, przemysłowe i t. d.

Niemiecka doktryna wojenna niewątpliwie była dużą nowością. Trzeba jednak przytem pamiętać o dwóch rzeczach. Po pierwsze, Niemcy zapożyczyli z Rosji cały szereg chwytów taktycznych (choćby desanty spadochronowe) i pojęć operacyjnych. Na ich doktrynie odbiły się egzaltowane teorje włoskiego generała Douhet, bezkrytycznego apologety lotnictwa, i rozważania angielskich teoretyków (np. Fuller) broni pancernej. Niemcy tylko usystematyzowali te pojęcia, rozbudowali na ich podstawach aparat wojskowy — i... sprawdzili w praktyce.

Drugi moment zasługuje na obszerniejsze zbadanie przez historyków. Ani jedna z broni, ani jeden z chwytów taktycznych zastosowanych przez Niemców w Polsce nie był niespodzianką. Pisano o tem lata całe, w Hiszpanji demonstrowano to w praktyce. A jednak — i bombardowania miast i kolei, i masowe ataki pancerne — to wszystko, co w pierwszym rzędzie zadecydowało o klęsce Polski, wszystko to śmiertelnie zaskoczyło nasze ówczesne dowództwo.

Po kilku miesiącach Niemcy ten sam styl wojny powtórzyli we Francji. I znowu — całkowite zaskoczenie. Dowództwo francuskie nie potrafiło znaleźć żadnych środków zaradczych.

Niema tu miejsca na rozważanie przyczyn tego. Niewątpliwie sięgają one poza granice psychologji dowódców polskich i francuskich, wkraczają w sfery kwestyj socjalno-politycznych.

Miażdżące zwycięstwa w Polsce i Francji wywarły ogromny wpływ na dowództwo niemieckie. Z charakterystyczną dla Niemców skłonnością do szybkiego nabierania pewnoś-

ci siebie wraz z powodzeniem, dowództwo niemieckie pośpieszyło hipotezy swej doktryny wojennej uznać za pewniki. Czołg został sakryfikowany jako decydująca broń naziemna, zdolna do samodzielnego rozstrzygnięcia kampanji. Jego szybkość zapewne stała się jednym z tych powodów, które Hitlerowi ułatwiły powzięcie decyzji uderzenia na Rosję. Bo nawet oślepiony własnem powodzeniem hitleryzm zdawał sobie sprawę, że kusić się o zwycięstwo nad Rosją można tylko wtedy, jeśli się ma broń, która swoją szybkością zmniejszy obszar Rosji do rozmiarów dostępnych jednemu — dwom potężnym uderzeniom. Armja karabinu maszynowego dokonaćby tego nie potrafiła. Armja czołgu — kto wie?

MINUSY ŁATWEGO ZWYCIĘSTWA

Lato 1941 roku było szczytowym okresem wojennego życia czołgu. Zaskoczenie, które Niemcy zyskali napadając na Rosję, pozwoliło im, po przełamaniu nadgranicznych skupień wojsk sowieckich użyć wielkich mas pancernych do manewru na niespotykaną dotąd głębokość. Czołgi niemieckie szły naprzód, uprzedzając cofające się oddziały na możliwych linjach zaczepienia, spychały je na bezdroża, groziły otoczeniem.

Armja rosyjska w 1941 roku także miała siły pancerne. Starły się one m. in. w ogromnej bitwie na Wołyniu w czerwcu — lipcu z formacjami niemieckiemi. Te jednak przeważyły: były zbyt duże, zaskoczenie dawało Niemcom silną przewagę liczebną.

Czołgi źle znoszą odwrót, zwłaszcza szybki. Zbyt ciężka, zbyt złożona to maszyna. Wystarczy lada defekt (a o to w czołgu nie trudno), by stanęła. W natarciu to pół biedy, przyjdzie warsztat reperacyjny i po paru godzinach maszyna dopędza oddział. W odwrocie każda godzina oznaczała koniec, bo czołgi najczęściej są w straży tylnej. Każdy defekt, to strata czołgu.

W rezultacie, kiedy w jesieni front się zjawił pod Moskwą i w Zagłębiu Donieckiem, przewaga liczebna Niemców w broni pancernej okazała się ogromna, mimo, że ponieśli oni w czołgach straty nad wyraz ciężkie.

Tej jesieni czołgi odniosły wielki tryumf: przeprowadziły kilkumiljonową armję — nie przez pas drutów i karabinów maszynowych, lecz przez kraj równy połowie Europy Zachodniej. Zdawałoby się, niemiecka doktryna tryumfuje. Armja czołgu po raz trzeci dowodzi swojej wyższości.

Ale był to tryumf pozorny. Laik sukcesy wojny mierzy zdobyczą terytorjalną. Strateg — ilością zniszczonego nieprzyjaciela. Czołgi znakomicie pokonywały przestrzeń. Ale nie umiały sobie dać rady **z dobrym żołnierzem.**

We Francji zdarzało się, że wystarczało oskrzydlić jednostkę, by jej dowódca uznał się za pokonanego. Wystarczało paru czołgom zjawić się na drodze odwrotu dywizji, by ta uznawała się za otoczoną i składała broń. W Rosji, całe armje wyprzedzane przez niemieckie czołgi, zepchnięte z głównych dróg, szły, przebijały się niemal miesiącami i wychodziły na wolną przestrzeń. Czołgi mogły zajść na tyły, ale nie mogły zamknąć pierścienia.

Jesień 1941 roku, zakończona klęską pod Moskwą, podcięła niemiecką doktrynę czołgu. Armje sowieckie cofające się z nad granicy aż pod stolicę Rosji, nie zostały przez czołgi zniszczone, naodwrót, poparte przez zgromadzone odwody, rozbiły niemieckie armje pancerne.

BRONIE WRACAJĄ NA SWOJE MIEJSCE

Rosyjska doktryna wojenna, tak jak widzimy dzisiaj, w obliczu nieskończonej jeszcze wojny, nie daje nam narazie możliwości dokonania obszernych i wyczerpujących syntez.

Można jednak zanotować szereg stwierdzeń, które w pewnej mierze rzucą światło na tę, jedną z wielu, przyczynę sowieckich zwycięstw.

Sowiecka doktryna wojenna wyrosła z doświadczeń obecnej wojny. Niemiecka doktryna czołgu oznacza zbyt uproszczone, zbyt pośpieszne wyciągnięcie wniosków z pokonania armji karabinu maszynowego. Było to jednostronne stwierdzenie niewątpliwego przewrotu w technice wojennej — jednostronne, bo zwyciężony nieprzyjaciel był niewspółmiernie do Niemców opóźniony, lub raczej zacofany technicznie.

Sowiecka doktryna wojenna wyciągnęła wnioski z własnych klęsk pierwszego okresu wojny — i ze zwycięstw drugiego okresu, zwycięstw nad najbardziej nowoczesną technicznie armją niemiecką, Gdy zastanawiamy się nad jej zasadami, uderza w nich nawrót do odwiecznych, podstawowych pojęć strategicznych, które wyznawali najwięksi wodzowie historji, od Aleksandra Wielkiego poczynając.

Jest to zjawisko naturalne. Wynaturzona strategja pozycyjna, wynik niszczącej mocy obronnej karabinu maszynowego, została obalona z łatwością przez czołg. Ale ta łatwość spowodowała przesadną ocenę roli czołgu, na czem wyrosła doktryna niemiecka. Te dwa wahnięcia, w prawo i w lewo, po pokonaniu czołgu, zostały przekreślone przez strategję sowiecką. Przyjmując wszystkie udoskonalenia techniki wojennej, tworząc armję najbardziej nowoczesną, wódz rosyjski na tej nowej podstawie przywrócił właściwe miejsce odwiecznym pojęciom strategicznym.

Wróciła więc na swoje miejsce zasada współdziałania broni i dominującej roli piechoty, wytrącona, zdawało się, przez wyczyny niemieckich czołgów.

Czołg wszedł na zawsze do arsenału nowoczesnej armji, ale rola jego teraz po sowieckich korektywach, jest inna. W zimie 1941/42 i później dowództwo rosyjskie przeprowadziło olbrzymie dozbrojenie swojej armji w broń przeciwpancerną. Jeszcze przed Moskwą bronią taką w znacznej mierze były butelki z płynem zapalającym.. Pod Stalingradem była to już rusznica przeciwpancerna. Jej masowość i skuteczność przekreśliła działanie dotychczasowych niemieckich lekkich i średnich czołgów, zmusiła Niemców do budowania „Tygrysów", te zaś już w swojem założeniu były zaprzeczeniem doktryny czołgu, jako broni decydującej: zbyt są ciężkie, powolne, zbyt niewielki mają zasięg działania. Na „Tygrysy" Rosjanie odpowiedzieli rozbudową artylerji przeciwpancernej ciężkich kalibrów.

Rola czołgu jest obecnie odwróceniem jego pierwotnej roli z r. 1917 i 1918.

To nie czołg prowadzi za sobą piechotę przez pas umocnień. To piechota z artylerją przeprowadzają czołg przez linję obrony przeciwpancernej, wpuszczają go w zaplecze nieprzyjacielskie i umożliwiają dokonywanie rajdów. Rola czołgów obecnie przypomina rolę kawalerji: po wyjściu na wolną przestrzeń operacyjną dokonywa on szeregu niespodziewanych zagonów na tyłach, atakuje skupienia odwodów w marszu, gdy są nieprzygotowane, wogóle maksymalnie wyzyskuje jeden z swoich atutów: szybkość i wynikające z niej zaskoczenie.

Zdezorganizowane działaniem czołgów siły nieprzyjacielskie nie mogą sprostać atakowi frontalnemu piechoty i zaczynają odwrót. W tym momencie rola czołgu wzrasta. Strategja sowiecka dużo uwagi poświęca t. zw. „równoległemu pościgowi", kiedy ścigający posuwa się drogami równoległemi do drogi odwrotu ściganego, uprzedza go na przejściowych linjach obronnych i grozi uderzeniem na skrzydła. Główną rolę w takim pościgu grają czołgi.

Pierwszym warunkiem powodzenia jednak w tych działaniach jest możliwie najmniejsza rozpiętość między czołgami a dążącą za niemi piechotą. Piechota jest tym fundamentem, na którym się wznosi zwycięstwo. Tylko to jest trwale zajęte, co zajęła piechota. Temu staremu pewnikowi strategicznemu doktryna rosyjska w pełni przywróciła należne mu miejsce.

Trzeba jednak pamiętać, że piechota dzisiaj jakościowo różni się od piechoty ery karabinu maszynowego. Jednostka piechoty ma cały szereg broni, których dawniej nie było wogóle. Pułk rosyjski ma, poza kompanjami ciężkich karabinów maszynowych, kompanje fizyljerskie, kompanje rusznic przeciwpancernych, moździerze, działa. Proces przenikania artylerji do jednostek piechoty poszedł w armii rosyjskiej dalej niż było dotąd. Nie tylko dywizja, nie tylko pułk, ale i bataljon posiada własną artylerję, czasem zaś nawet kompanja ma swe moździerze.

Szczególną rolę w armji rosyjskiej gra artylerja. Nowatorstwo strategji rosyjskiej w tej broni szło dwiema drogami. Z jednej strony była tendencja do maksymalnego zbliżenia taktycznego artylerji i piechoty, artylerji i czołgów. W pierwszym wypadku wyraziło się to we wprowadzeniu artylerji bataljonowej, w systemie wspierania ogniem bezpośrednim, w towarzyszeniu piechocie w natarciu — jak mówią Rosjanie: „ogniem i kołami". Oznacza to, że artylerja nie tylko ostrzeliwuje coraz to nowe cele w miarę posuwania się piechoty, ale i sama zmienia pozycję, działa idą do natarcia razem z piechotą. Towarzyszenie w natarciu czołgów wyraziło się w stworzeniu specjalnej „artylerji pancernej" tego typu, co np. niemieckie „Ferdynandy", co tak nieudolnie nazywa się u nas w armji „artylerją samochodową".

Druga, przeciwna, ale uzupełniająca pierwszą tendencja — to tworzenie coraz większych jednostek artyleryjskich. Są już dywizje artylerji, bodajże czy nie korpusy i armje. Daje to możność niebywałej dotąd koncentracji i organizacji ognia artyleryjskiego w głównych kierunkach uderzenia.

Dodajmy jeszcze wzrost jakościowy artylerji rosyjskiej. Wzrosła ilość ciężkiej artylerji, zjawiły się nowe typy dział specjalnych. Wynalazca rosyjski stworzył pierwsze w tej wojnie działa salwowe, rakietowe, popularne „katiusze", które odegrały poważną rolę w dziejach wojny i pchnęły w nowym kierunku myśl techniczną wszystkich krajów walczących.

Doktryna rosyjska utrzymała w armji kawalerję, jako broń samodzielną. Wprawdzie zamiast armji konnych są teraz tylko korpusy kawaleryjskie, biorą jednak one udział w wojnie w skali operacyjnej. I tu, jak w piechocie, kawalerja jest inna jakościowo niż przedtem. Jej uzbrojenie zmieniło się; oprócz „taczanek" zjawiły się w niej moździerze, działa przeciwpancerne i t. d. Kawalerja gra teraz rolę zbliżoną do lekkiej piechoty zmotoryzowanej, towarzyszy czołgom w głębokich rajdach, w razie potrzeby przechodząc do obrony i utrzymując pozycję do nadejścia piechoty. Zdarza się jednakże, że występuje także w swojej klasycznej roli taktycznej: w szarży konnej, zwłaszcza na nieprzyjaciela w odwrocie.

Lotnictwo w armji sowieckiej nie jest wyodrębnione w osobną, jak armja i marynarka, kategorję siły zbrojnej. W Rosji niema „Luftwaffe" i „RAF". Jest lotnictwo armji naziemnej i lotnictwo marynarki. Być może, jest w tem tendencja do maksymalnego przybliżenia taktycznego lotnictwa do innych broni w ramach jednej operacji. Jest rzeczą pewną, że to w Rosji powstało lotnictwo towarzyszące, „szturmowe", które odegrało w 1941 r. dużą rolę w zwalczaniu niemieckich czołgów, teraz zaś wspiera w działaniach ofensywnych piechotę i czołgi.

NIEMA STRATEGJI DLA STRATEGJI

Charakterystyczną cechą rosyjskiej sztuki operacyjnej jest zamiłowanie do manewru. Poczynając od Stalingradu, gdzie zamierzono i wykonano klasyczne „kanny", historja wojny na wschodzie zanotowała cały szereg oryginalnych i z wielkiem mistrzowstwem wykonanych manewrów. Może najistotniejszym momentem tych operacyj jest znakomite powiązanie ich ze sobą w przestrzeni i w czasie. Kampanja zimowa 1942-43 r., to łańcuch 10—15 operacyj, z których każda wypływa z poprzedniej i przygotowuje następną. Kampanja ta z pewnością wejdzie do wszystkich podręczników sztuki wojennej. Równie pięknie pomyślane i zbudowane były kampanja letnio-jesienna 1943 r. i letnia kampanja roku bieżącego.

Dochodzimy tu do najsilniejszej strony rosyjskiej armji i dowództwa — do sztuki strategicznej. Pod tym względem góruje ona nad Niemcami i górowała nawet w okresie klęsk 1941 r., kiedy kosztem najbogatszych swoich ziem uratowała siły zbrojne i zapewniła przełom pod Moskwą.

Strategja jest, w większym niż jakakolwiek inna dziedzina wojskowości stopniu, pochodną układu geograficznego, ekonomicznego, socjalnego i politycznego danego kraju. Niema strategji „samej w sobie". Strategja niemiecka nie może być dobra, bo Niemcy nie mają surowców strategicznych, więc nie mogą prowadzić wojny długotrwałej, więc muszą iść na ryzykowne, awanturnicze koncepcje. Strategja faszystowska tem bardziej musi być awanturnicza, bo faszyzm i podczas pokoju trzyma się na bagnetach, więc tem bardziej musi forsować rozwiązanie i uganiać się za efektownemi, choć nieważnemi sukcesami. Stalingrad, przy którego zdobyciu upierał się Hitler, choć tymczasem miasto to utraciło swoje znaczenie strategiczne, ofensywa na Kursk — w pierwszym rzędzie dla politycznego efektu, — to tylko dwa przykłady z całej serji błędów strategicznych, które faszyzm musiał popełnić, bo inaczej groziłaby mu klęska polityczna w kraju.

Nie jest przypadkiem więc, że twórca strategji sowieckiej, wódz naczelny sowieckiej armji jest zarazem kierownikiem politycznym kraju. Zadaniem strategji jest rozbicie wroga, naczelną zasadą jej jest: „w decydującej chwili i w decydującem miejscu mieć decydującą przewagę". A w wojnie totalnej, w wojnie którą toczy cały naród, cały kraj — żaden wojskowy tylko specjalista, żaden wyłącznie wojskowy zawodowiec nie będzie miał na olbrzymiej wiedzy socjalnej i politycznej opartego wyczucia, jaka chwila i jakie miejsce będzie decydujące. Decyzje wojenne, które przyjmował Stalin w krytycznych punktach wojny, są wzorem tego właśnie wyczucia trzech podstawowych czynników strategji — miejsca, czasu i siły.

Streszczając — rosyjską doktrynę tej wojny można nazwać klasyczną. Myśli przewodnie wielkich wodzów przeszłości z Napoleonem na czele—wytrącone w r. 1914 przez karabin maszynowy i w 1939—1940 przez czołg — wróciły w niej na swoje miejsce. Doktryna ta uznając rolę natarcia, odrzuca egzaltowaną teorję „Blitzkriegu", uznając rolę czołgu, wiąże go organicznie z innemi broniami i przywraca w ten sposób wagę zasadzie jedności i współdziałania broni. Jest ona harmonijnem połączeniem nowoczesnej techniki i klasycznej strategji.

Doktryna ta wyrosła z wojny i wojnę tę zwycięsko kończy. Przeszła więc przez ogniową próbę i tem samem dowiodła swej doskonałości.

* * *

Trudno mówić o doktrynie angielskiej czy amerykańskiej, bo armje tych krajów dotąd mały bardzo brały udział w działaniach masowych. Anglicy wykazali swoje mistrzostwo taktyczne i operacyjne w szóstej bitwie o Libję, w bitwie pod El-Alamein. Anglicy i Amerykanie dokonali klasycznego manewru w decydującej fazie bitwy o Tunis i podczas tegorocznego przełamania frontu w Normandji. Siły jednak tam użyte były zbyt małe, aby na podstawie tych przykładów kusić się o obszerniejsze syntezy. Zdaje się, że główne wytyczne doktryny sprzymierzonych pokrywają się naogół z doktryną rosyjską i w pewnej mierze niewątpliwie z niej czerpią przykład.

Swoistą „nowością" anglo-amerykańską są „teorje" o lotnictwie, jako broni decydującej, zdolnej samodzielnie rozstrzygnąć wojnę. Teorje te jednak obaliło życie i teraz nie są już one traktowane na serjo nawet w Anglji czy Ameryce. Zresztą i tam nigdy nie były uznane oficjalnie.

Jerzy Putrament

---

*

* *

W poprzednim (szóstym-siódmym) numerze „Odrodzenia" z dnia 22 października: **Antoni Ruszkiewicz:** Powstanie warszawskie. — **Mieczysław Jastrun:** Godzina strzeżona: Nad Wisłą. Godzina strzeżona. Centaury. Wieść, Pogrzeb. Podwójny grób. Uczeń. Poległym. Poprzez czas. — Wincenty **Bednarczuk:** Tragedja Warszawy. — **Zbigniew Piotrowski:** Pamięci poety. — Z poezji podziemnej. — **Helena Jaworska:** Śmierć. — **M. C.** (Warszawa): W Aleje Ujazdowskie. — **Wanda** (Warszawa): Wiosna. — **T. J. (Kraków):** Epitaphium.—**J. L. (Kraków):** Cieniem za drzewem stoi. — **A. W. (Kraków):** Uchodźcy. — **K. F. (Kraków:** Dzieciństwo. — **Stefan Żółkiewski:** Wspomnienia o życiu umysłowem w okresie konspiracji. — **Włodzimierz Michajłow:** Komplety. — **Jerzy Zaruba:** Warszawa pod okupacją (9 rysunków). — **Janusz Minkiewicz:** Warszawa, jako została mi w oczach. — **Stefan Jaracz:** O Teatrze Narodowym. — **Jan Kreczmar:** Sytuacja aktora w okupowanej Warszawie. — **Jan Huszcza:** Pieśń o Rzeczypospolitej. — **Władysław Krzykowski:** Djalog w sprawie rolnej. — **Jan Karol Wende:** Z cyklu: Spotkania z Polską. Charosz Adam — Miscellanea. Przestrogi Erenburga. Amicus Plato... **(awk).** — **mj.:** Laurowo i ciemno. — Kronika. — 12 stron.

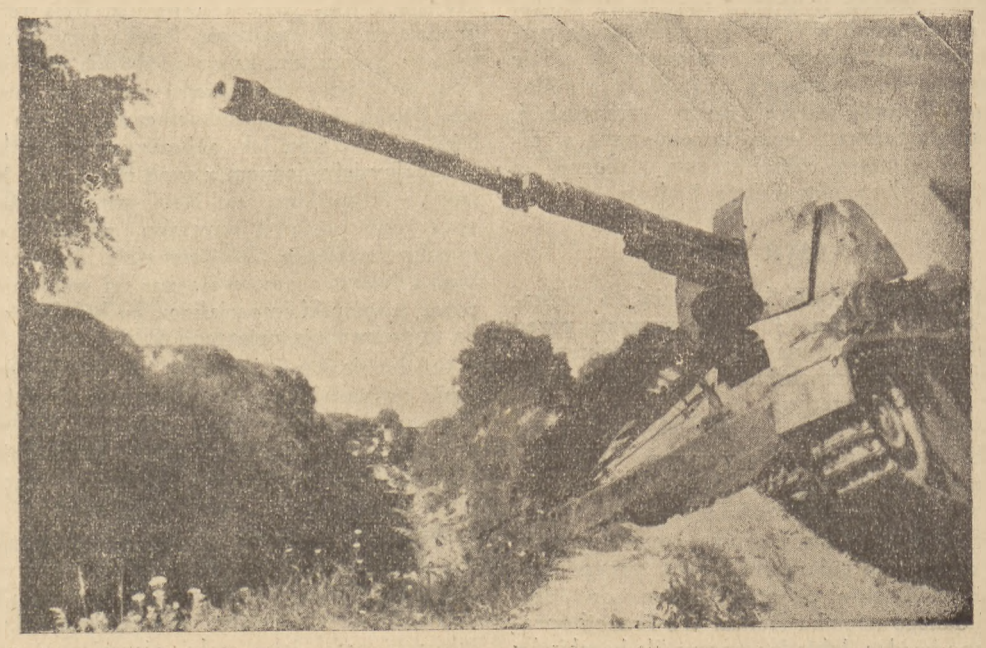

Na drodze zwycięstw

fot. H. Makarewicz

STANISŁAW PIĘTAK

Ostatnia noc

Filip od trzech dni pił coraz więcej. Działo się to po zastrzeleniu zandarma Kluftkego, w czasie, kiedy w całym powiecie nastąpiły znowu masowe aresztowania. Weselił się, grzmiał śmiechem, awanturował się zawadjacko nawet, w gruncie rzeczy cichaczem o czemś myślał, coś przeczuwał — i błyskawicznie w jakiejś chwili coś, jak zgniła, obrzydliwa mgła, przywalało go nieprzyjemnym, duszącym ciężarem. Szedł spać, ale oto w głębokim śnie po głupich spotkaniach to z koniem w stajni, to z psem, to nawet z jakąś kobietą przygodną, której nie chciał i którą gardził, po zawirowaniu niebieskiego powietrza w górze spadało znowu ciemno i działa się rzecz oto taka: z przestrzeni dziwnej, jakby z jakiejś ogromnej beczki wyrastała naga, ostra ręka i porywczo wskazywała na niego, Filipa, skulonego i płaczącego wśród drgawek strachu w drzwiach domu. Ręka była obrośnięta rudym, ruchliwym włosem i miała sześć palców!

Czując, że dusi się z lęku, Filip budził się i nagle siadał na łóżku. Pod przeciwległą ścianą spały dzieci: Helenka i Franka, i chrapały przez sen. Przez okna szerokie widać było niebo mroźne, gwiaździste, niekiedy szarpiący wiatr powstawał i gnał grudy śniegu ciemne, skłębione wokoło wysokich i jakby porzuconych w pustkowiu drzew. Gdy pierwszy raz przyśnił mu się sen, zdrętwiały siedział długo i zaczął rozmawiać z żoną — napół obudzona żona jego Zośka odwracała się w złości przecież od niego i mruczała bez przerwy: „Och, ty pijaku przeklęty, och ty Filipie nędzny! Daj mi spokój, nic nie chcę słyszeć, nic nie chcę wiedzieć! Precz! Ty się rozbijasz za temi głupiemi sprawami, a ja haruję jak wół za ciebie! Precz!"

Smutniał i nawet w pewnym sensie stawał się miękki, roztkliwiony, pragnął rady niejako, opieki, rozmowy prostej — potem wszakże, gdy sen regularnie począł się powtarzać — co godzina, po każdej przerwie, — wpadł w złość i zmienił się do niepoznania. Wyskakiwał w gaciach, palił światło, szukał po kątach, prał żonę, a nawet wylatywał na dwór i przebiegał w pośpiechu wszystkie zakamarki gospodarstwa swego, węsząc, patrząc uparcie na wszystkie strony.

Ostre, spocone jego włosy zamarzły, a on wracał z jeszcze większym lękiem. Burczał, ofukiwał żonę, nie szedł jednak już spać, czujny, czekający stał przy oknie godzinę, dwie, niekiedy i do rana. Na dworze przelatywały ciężarówki niemieckie, strzelał płot na mrozie, mrużyły się gwiazdy i zdawały się spadać z roziskrzonej niebieskości na dalekie domy pod lasem. Drzewa szły fantastyczne, wyrastały w oczach zmęczonych bezsennością jakieś olbrzymie zwierzęta, ludzi jednak nie było nigdzie. Ale raz... Było ciemno i świszczący śnieg przeganiał bure chmury za oknem, gdy naraz dał się słyszeć głos piskliwy, ledwie do usłyszenia, wychodzący jakby z jego piersi.

Filip zachwiał się, przytrzymał się ramy okiennej i nagle w natłoku szybkich, pełnych boleści skojarzeń osłabł zupełnie.

— Pieter Dec — szepnął. — Tak, to tylko Pieter Dec!

Chyba zasnął, a może i nie zasnął. Błądził potem może nazbyt długo wokoło swojej chałupy, około 2-giej po południu wszakże zamyślony, skupiony, umył się starannie, ubrał w niedzielny kożuch i wyszedł na wieś.

— Dzień dobry Filipie, — hę, hę, jak interesy? — pytali go chłopi i radzi pośmiać się z jego dowcipu przystawali przy płotach i uchylali chytrze czapek.

— Dzień dobry — odpowiadał sucho i nie stając, nie podśpiewując, jak to robił zwykle, szedł do chałup pod las równym, mocnym krokiem. W ostatniej chwili drgnął jeszcze w nim ostry lęk, ale mimo to, pusząc się, otrzepując z śniegu brwi, kożuch i buty, wstąpił prosto do mieszkania Piotra Deca.

— Dobry wieczór ci, Pietrze — odezwał się poważnie tuż po wejściu do rozgrzanej, zadymionej izby i znów powoli zaczął otrzepywać śnieg — robił to chwilę. Gospodarz — suchy, mały, rudy chłopina, o długich rękach — zaśmiał się nagle krzykliwie i podbiegł w te pędy do Filipa.

— Ej, Filipku, ej, Filipku — westchnął niespodzianie. — Któżby pomyślał. Ty i ja! I to tutaj!

Co wybałuszasz ślepia, stara? — Podbiegł do ładnej, młodej kobiety stojącej przy blasze i mieszającej łyżką w garnku i uderzył ją po plecach.

Cofał się i znowu śmiał się — oglądał Filipa, otrzepywał go i prowadził do stołu.

— Przyszło się do przyjaciela. Coś zdrowie nie dopisuje — chciałoby się pogadać — szeptał Filip. — Ano może i na tamten świat przyjdzie się wybrać...

— Ej ty, ty, Filip! — Ej ty Filip! — radował się Pieter i wciąż stał przy stole i tarł zapalczywie suchy nos. — No, poco słowa — my radzi, radzi bardzo. Placka nie mam, wódki nie mam, ale serce całe! Znasz to, śpiewałeś u Maryny kiedyś!

— Pozatem zresztą przygnała mnie tu pewna sprawa, Pietrze.

— Jaka? Marciu, słuchaj, zapisz. Widzisz, ten wielki Filip, ten, co trzęsie całą wsią, ma sprawę do mnie. A niechże cię! No, pozwól popuścić pasa, pośmiać się. Udało ci się. Nima co!

— Widzisz — ścigają mnie za ubój. Robili rewizję, coś znaleźli. Pewnie zamkną do dziury. Jednem słowem, Pietrze, bądź dobry, zważ na moje dzieci, pomóż.

— Co, co? Słuch mnie myli. Chybam ogłuchł... Ja mam pomóc? — Pieter nagle podniósł się i przez jakiś najkrótszy moment stał się zły, zirytowany. Już po chwili potem przecież wybuchł gwałtownym śmiechem, długiemi rękami zakołował nad sobą i objął za szyję Filipa.

— Bracie, już ty co powiesz, to powiesz. Nie od rzeczy cię nazywają wielkim Filipem!

— Pomóż, żyliśmy dobrze ze sobą, — 10 tysięcy mam zapłacić. Zrujnuje mnie to. Na całe życie zrujnuje. Już się nie podniosę.

Dec nagle znowu sprostował się — usta skrzywiły mu się raptownie.

— Dlaczego to ja? — odezwał się po raz pierwszy cicho i innym, piskliwym tonem.

— Znasz się z nimi — umiesz po niemiecku. Filip podniósł się i położył ciężko dłoń na ramieniu Piotra.

— Pietrze, jako krewnego mej matki, jako rówieśnika cię proszę.

— A ty wiesz, Filipie, że ty mnie drażnisz! — krzyknął po raz pierwszy wściekle mały Piotr i tupnął, przysiadając prawie na ziemi.

— Za kogo ty mnie masz, u pieruna jasnego!

— Pieter, uspokój się— żona Piotra zbliżyła się do nich wolnym krokiem i spokojnie poprawiła bluzkę na sobie. — Co tam, dadzą pół wieprzka dla Kluftkego — i zrobi się... Dla Filipa przecież poprosisz i tego chama... Nie drzyj się — można...

— Precz, precz! — wołał Piotr i już teraz pienił się, groził. — Jeszcze ty, pchło, będziesz mi dawać rady, będziesz mnie szczuć, będziesz kąsać. Ja nie pozwolę sobie grać na nosie, ja jestem panem swojej woli! Ja, który kiwałem wszystkich... Ty mnie!...

W pośpiechu narzucał płaszcz na siebie, pluł i długą ręką wskazywał zaśnieżone okno.

— Chodź, Filipie. Tu nie porozmawiamy. Na złość tej nędznej krzykalskiej małpie upiję się, jak świnia, do bab pójdę, nie wrócę i po dniach! Ona mi rady będzie dawać, ona wykładać będzie o Kluftkem, cholera jedna! Wiesz kto to Kluftke? Ty nie wiesz!

Siłą wyciągnął Filipa na dwór i z łoskotem zatrzasnął drzwi, wciąż wrzeszcząc, wciąż przeklinając, wciąż grożąc podniesioną pięścią. Zmierzch bury nadchodził od nizinnych drzew i mróz brał bardzo ostry. Czerwone smużki zachodu stygły za konarami olbrzymich, nagich topoli, skrzył się śnieg błękitny i zdaleka słychać było skrzypienie wozów ciężarowych jadących do miasta.

Piotr szedł szybko i tylko przelotnie raz odwrócił się do idącego za nim, pochylonego w zamyśleniu Filipa. — Oczywiście, że zrobię wszystko dla ciebie, Filipie — ale poco ta Marta o Kluftkem — poco? Drań Kluftke zginął przed trzema dniami zastrzelony pod lasem na szosie, jak pies. Dwie kule w brzuchu — krew lunęła jak z byka. Więc poco?

— Kluftke zginął? A to nowina — nie wiedziałem.

— Ha, ha, ha — nie wiedziałeś? Bujaj innych, a nie mnie!

— Pietrze, nie wiedziałem!

— Zresztą świństwo jest wszędzie — każdy z was kłamie. Ale mnie to nie obchodzi — chodź, napij się wódki — zadowolony jestem, o, nawet szczęśliwy, żeś przyszedł. Filipie, Filipie, ty jesteś podły!

— Ano człowiek, jak to człowiek — szeptał Filip. — Słaby, chwiejny...

Weszli w drzwi restauracji i stanęli przy bufecie. Knajpa była zapełniona. Szalało tu kilku młodzików, śpiewając, prowokując gości zuchwałą mową. Dwaj starzy mężczyźni siedzący nad czterdziestką wódki odsuwali się raz po raz — jeden po każdem ryzykowniejszem zdaniu chłopców, wypowiadających się pod adresem pijanego Niemca z Wehrmachtu zaczepne i brutalnie, odwracał się i krzywiąc się tarł twarz, poprawiał watę w uszach.

— Poco to, poco? Niechże pan powie, inżynierze?

Kelnerka, ładna, wypudrowana panna, przelatywała tu i tam, mimochodem dawała się ściskać młodzikom, śpiewającym krzykliwie jakąś partyzancką pieśń, opryskliwie odpowiadała starcom, żądającym coraz to innej kanapki i stawała w progu lokalu, jednym rzutem oczu ogarniając zapełnioną, podmiejską ulicę.

— Zasrańcy, gdzież tu poszanowanie dla starych? — mruczał niższy z mężczyzn i już dębową laską stukał, kierując się ku wyjściu.

Filip i Piotr usiedli w drugim kącie pokoju i poprosili o wódkę.

— Wypijmy po szklance — mruknął Piotr. — Można.

Pierwsza szklanka rozgrzała Filipa, przenosząc ciepło niemal aż do zmarzniętych nóg, następna wszakże znagła obezwładniła.

— Piotruś, więc zrobisz to dla mnie? — rzekł szeptem.

— Nie o to idzie — powiedział twardo Piotr. — Pij, ja się cieszę, że ty jesteś przy mnie.

— Bo widzisz — tak mi się nie szczęści ostatnio, dzieci mi chorują, żona — ja też niedomagam...

— Widać to. Utyłeś, czerwonyś, że pęka wszystko na tobie!

— Stare lata już mnie gonią. Gdzie podziała się dawna lotność, dawna siła? Metr zboża brałem na siebie przy galarach — i szedłem nawprost — pamiętasz? Wisła — jeździło się aż na Zawichost — i dalej...

— Strachy na lachy. Już ty potrafisz opowiadać, wykręcać wszystko ogonem...

W knajpie się nagle zakotłowało: jeden ze starców, pozostawiając laskę, wybiegł i począł uciekać, drugi tymczasem kryjąc się między stołami, rejterował do kuchni, młodzikowie, repetując broń bawili się nabojami i dowcipkowali z dziewczyną.

— Nie igraj z ogniem, Karol — on może i nie pijany tak całkiem — mówiła kelnerka, wskazując drzemiącego Niemca.

— Wolałbym poigrać z tobą, głupia, Ale co, u ciebie trzeba się o względy zapisywać — odparł rozradowanym głosem wysoki przystojny chłopak, nie mający więcej niż dwadzieścia lat i naraz obudził Niemca.

— Henryk — Niemcy kaput już, tak? — szturknął go w ramię.

— Ja, ja — potaknął Niemiec.

— Widzisz, on mądrzejszy niż ty!

— Pieter, ale ty masz rude włosy na rękach — szepnął nagle Filip. — Skąd to? W kuźni, bracie, tak ci spełzły chyba?

— Co?

— Ano starość — i tobie też włosy zrudziały na rękach.

— Filip, ja wiem, że to ty zastrzeliłeś Kluftkego! — wyrzekł naraz twardo Piotr. — Ale przysięgnę, nie wydam — ja już od miesięcy pracuję w naszym wywiadzie. Ty masz o mnie mylne wiadomości. Ja idę z wami.

— Nie słyszę, może powtórzysz...

— Zastrzeliłeś Kluftkego. No, ręka niezawodna, to tylko ty tak umiesz! Brzuch rozpołowiony — i jucha bucha, fu-u!... Dlaczego ciebie nie mianowali — toś ty powinien być mianowany!

— Pani da nam jeszcze wódki — dopiero po pewnej chwili szepnął Filip. — Nie rozumie pani, ano ta wódka wcale nie grzeje. Stara to chyba już krew we mnie. A pomyśleć — ech, ech!...

— Ja cię uważam za bohatera, tyś bohater! — wił się Piotr.

— Może pani przysiądzie się do nas, chłopców już niema.

—Niech się pani nie boi, ja już kwita,—mnie nie o baby zresztą idzie, mam swoją, kłótliwa, przecież dobra — ale tu jest ten Piotr, Pietruszka. Szturkaliśmy go kiedyś i już za młodu nazywali — ech, fu! No przecież podlizywał się, donosił.

—Filipie, to niepotrzebne, to dla ciebie nie wypada. To wstyd!

— A więc chodź, wychodzimy. Jakiż ten mróz jest na dworze, może już 30 stopni jest go nad rzeką. Lód strzela!

Nów księżyca stał w gałęziach pustych; z dali roziskrzonej śniegiem, gwiazdami, rozbłękitnionej zimnem powietrzem leciał pociąg hucząc, tętniąc. We wsi przebłyskiwały raz po raz światełka, słychać było brzęk zapóźnionych sanek.

— Nawet ładna noc!

— Filipie, mnie boli — ty jesteś potwór!

— Chcesz pójść do tej Maryny na kraj wsi — dobrze. U niej jest wódka, jest. No, ja bab nie szukam, co mi tam baba, ale gdy już tak łazimy, szwendamy się po świecie, jak wilki... Ty zmarzłeś, ano wal do niej...

— Filipie!

— Co chcesz?

— Ach, a gdy żandarmerja już coś wie, śledzi cię — ratuj się, z nimi niema żartów. Pomyśl — tortują, trują, oni są straszni.

— Mówisz to ze swojej myśli — dopiero po chwili odezwał się Filip i stanął. Tu, gdzie byli, wyrastały na tle jasnego światła i ciemnych drzew obfite, rozwiewne zaspy — była pozatem pustka, do wsi było kilka kilometrów, może zresztą więcej. Zaczynały pozatem nagle ginąć kontury w błękitności nocy.

— Nie, — ja z ich położenia — ja stawiam się w ich myśli... .

— Piotrze, tyś doniósł! — rzekł naraz bardzo szybko Filip i dziwił się, bo zrobiło mu się gorąco, — mgła przeleciała i stracił na sekundę towarzysza z oczu i przestrzeń.

— Mam cię potworze, mam cię potworze! — ryczał Piotr i płakał. Łzy zamarzały mu na chudej skrzywionej twarzy, a on próbował wśród zasp uciekać. Światło goniło na tle śniegu jego skuloną, nikłą postać i jakby raz wraz odskakiwało w bok, piszczało i zapylało ścieżkę rozpryskującym się śniegiem.

— Bohaterzy niby, a podli!

— Powiedz, dlaczegoś to zrobił, jestem krewny twój i rówieśnik — łączyła nas niejedna niedola.

— Filipie, tyś straszny, tyś opętany, tyś głupi! Ach, jak możesz mnie męczyć. Ja z wywiadu, — ja pracuję, ja ostatnią krew daję.

— Ano, zajrz tak niebu i mnie w oczy. Zimno jest, ale na chwilę, no, zajrz — otwarcie i śmiało... Zobaczymy, może i rozgrzeszę. Nawet zapomnę?

Piotr jednak nie ustawał biec, plątał się, padał w zaspy, opędzał rękami i znowu podnosił się do skoku w gwałtownym zrywie.

— Ja chcę nawet przebaczyć, ale prawo nie daje — moje prawo!—zawołał nagle Filip tak głośno, że poczuł jakby dotykalnie ten głos w sobie — jakąś sztabę zimnego żelaza, która mu zatykała gardło. Ukląkł i wciąż pełen wzburzenia i wściekłości strzelił odrazu. Ciało Piotra w tym momencie wykonało szybki ruch i uwięzło twarzą, kosmykami rozwichrzonych, rudawych włosów na plastrze zbrudzonego śniegu. Chciał je podnieść, lecz poczuł, że to ciało przymarzło...

„Dlaczego? To niemożliwe!" Przestraszył się i jęknął. „Chyba to oni", ktoś powiedział bardzo daleko w nieprzemierzonej białości...

* * *

Tym razem, gdy się obudził, był dużo spokojniejszy, ale oto teraz naprawdę Pieter Dec, zdrajca, konfident przeklęty, który przed miesiącem wstąpił do żandarmerji niemieckiej, stał za oknem i bił w ramy kolbą rewolweru, że szyby pękały i łaskotliwy jęk biegł przez dom. Rozczochrana Zośka wyskoczyła z łóżka i narzucając spódnicę potknęła się i zawyła.

— Mówiłam ci, Filip! Mówiłam ci! Lecz tyś nie uciekł — tyś został!... Boże jedyny — przyszli!...

Filip siedział na łóżku i milczał. Gwałtownie przez głowę przelatywały mu przeróżne myśli o ucieczce przez strych, o obronie, ale ich nie przyjmował mimo wszystko z powodu niespodzianej i straszliwej utraty sił. Na sekundę ścisnął go przenikliwy żal, że nie udusił, nie zabił tego nędznego Pietra, choć tyle razy miał sposobność — ot, choćby w czasie tego całonocnego powrotu w słotę z knajpy na stacji kolejowej, o której to właśnie śnił — tylko tak dziwacznie, uszlachetniająco, głupio, inaczej — przecież, gdy schodził z łóżka, by podnieść zemdloną żonę, był zastygły, zmartwiały, bez uczuć prawie.

Nie poszedł otworzyć. Stał i rozdarł koszulę na piersi. Tymczasem Dec wybił szyby, wskoczył do izby, celując w niego — wciąż wśród krzyku i wściekłości. Za nim wtaszczyli się jeszcze trzej umundurowani gestapowcy.

Dał się ująć. Gdy go Dec bił kolbą w twarz, w brzuch, w przyrodzenie, nie jęczał, odwracał się tylko i błyskawicznie wkładał palce do ust, jakby nie chciał podjąć krzyku. Świtało już — po słocie, jaka trwała w poprzednich dniach, zorza krwawa, brudna wychodziła, pięła się, pełzła nad wsią. Z gnojowisk, ze stajen podchodziła ostra, znana woń nawozu i potu bydła. Filip wciąż szedł w tępocie strasznej, obmierzłej, jakby nie zdawał sobie sprawy, co się dzieje. Skoro jednak zobaczył Zośkę zsiniałą, rozmamłaną, tarzającą się w błocie u nóg Deca, począł się trząść i też zaszlochał, zakrztusił się szlochem. Szarpnął się i rzucił się do żony, jakby ją chciał jeszcze ostatni raz chwycić za ręce.

Twarz miał już przecież zmasakrowaną, z czoła, z uszu ciekła krew, — obalono go naraz na ziemię i stłamszono, skopano.

Dec coraz przyskakiwał i przynosił mu aż do ust samych karabin odkopany, amunicję i pluł, śmiał się, krzyczał.

— Widzisz złodzieju — masz za swoje. Ostrzegałem, a tyś kradł, rabował, — mnieś, sukinsynie, podpalił przed kilkoma dniami. Powiedz, nie ty? Ty i Kluka z Wydrzy. Za to właśnie padniesz! Nie za co innego — o nie, ale za to!...

— Kłamiesz — ja zabiłem Kluftkego — ja Polak — szepnął naraz cicho Filip, zresztą już nie mogąc i głowy przekręcić, — okuty but gestapowca zgruchotał mu chyba ramię i obojczyk.

— Was? Was? — krzyknął najstarszy z gestapowców i momentalnie nachylił się nad Filipem, odwracając jego brudną, zakrwawioną twarz znowu ku światłu.

— Hm, ta świnia żebrze o życie — powiedział po niemiecku Dec, lecz przecież zbladł, zmieszał się i strzelił w tej samej sekundzie Filipowi w brzuch.

— Ich Kluftkego — ich — wyjęczał wyraźnie jeszcze w ostatniej chwili Filip.

ADAM WAŻYK

Pozycja artysty

(Uwagi ogólne)

1. SPRAWA MORALNA

Udział inteligencji w walce wyzwoleńczej w poszczególnych krajach europejskich zbliżył tę warstwę do mas ludowych, związał ją z niemi ideowo i moralnie. Młodzież uniwersytecka organizowała pierwsze ogniska ruchu partyzanckiego w Jugosławji, nici organizacji grup oporu we Francji prowadziły do zakładów naukowych. W ruchu partyzanckim w Polsce na rozmaitych szczeblach zjawiają się architekci, malarze, uczeni i poeci. W działaniu tych intelektualistów wyraża się postawa całych odłamów inteligencji.

Zwykle zwracamy uwagę na poszczególne, bardziej znane osoby ze świata nauki czy sztuki. Nikt nie posądzał Juljana Tuwima o zdolność do działania społecznego. Na emigracji w Ameryce Tuwim zaczął przemawiać na zgromadzeniach robotniczych. Wojna totalna zniszczyła domy i wtargnęła do zacisznych gabinetów. Domatorzy i gabinetowi inteligenci wyrwani z więzów rodzinnych, towarzyskich, z atmosfery mieszczańskiego bytu, wdali się w sprawę powszechną i wielu z nich stało się potrosze działaczami. To brzmi prawie jak banał — wojna zmieniła typy ludzkie. Co ważniejsze, życie powojenne będzie się domagało dalszych zmian w tym samym kierunku.

Jeszcze w trakcie walki z okupantem, a tem bardziej nazajutrz po uwolnieniu kraju, ruch wyzwoleńczy ukazuje swoje oblicze wielkiego ruchu społecznego — dąży do szybkiego przeprowadzenia radykalnych reform. To samo dzieje się w uprzemysłowionej Francji i w rolniczej Jugosławji. Taki sam prąd przebiega Włochy, Bałkany, wszystkie kraje uwalniające się spod jawnej czy półjawnej okupacji faszyzmu. Polska stała się miejscem osobliwem, wirowem miejscem tego prądu. Program reform społecznych wypisała sobie tylko część ruchu podziemnego, tylko ten jej odłam, który inicjował i pobudzał walkę partyzancką. I niewątpliwie w dalszym przebiegu wydarzeń postawa, rola i twórczość inteligencji nie będzie miała w Polsce charakteru tak klasycznego, jak we Francji.

We wszystkich krajach nowy ruch społeczny opiera się w życiu politycznem na porozumieniu partyj lewicowych i chłopskich. Może dalekowzroczni obserwatorzy już w przededniu wojny przewidywali jego narodziny, trudniej było przewidzieć, że będzie to ruch oparty na ścisłem porozumieniu kilku partyj. A już chyba najtrudniej było wyprorokować to, że ruch ten będzie miał silne zabarwienie moralne, które dzisiaj wydaje nam się czemś oczywistem.

Wojna totalna prowadzona przez faszyzm zaprzeczyła podstawowym zasadom etycznym cywilizacji. Zorganizowany system mordu, niszczenia całych mas ludności, deptania kultury narodowej i godności ludzkiej wstrząsnął pojęciami humanistycznemi inteligenta. W imię humanizmu rosyjski pisarz Erenburg stał się organizatorem masowej nienawiści do niemieckich faszystów. Sens moralny tej wojny zadecydował o gorliwości inteligencji w walce wyzwoleńczej i sens moralny popycha ją dalej do ruchu społecznego, w który ta walka przerasta.

Gromadny udział przedstawicieli kultury, ludzi nauki czy sztuki, w ruchu podziemnym we Francji można sobie tłumaczyć poprostu tem, że groziła kulturze francuskiej degeneracja, upodlenie, zagłada. To prawda, ale właśnie dlatego patrjotyzm, pojęcie, które dla niejednego intelektualisty przed wojną było zmurszałym dźwiękiem, stało się dla ludzi dobrej woli podstawą etyki osobistej. A równocześnie to pojęcie wzbogaciło się o nową treść, o treść społeczną. Nie o to przecież idzie, że ten czy ów rekin przemysłowy lub bankowy świetnie się dogadał z hitlerowcami. Wielki kapitał, ze swojej nowoczesnej natury anonimowy, pokazał z jaką łatwością zmienia narodowość. Niezależnie od tego, jak to się stało, czy Comité de Forges porozumiał się z niemieckim kapitałem, czy też — jak w Polsce — akcje wielkich przedsiębiorstw przeszły w niemieckie ręce, trusty i kartele, twory wielkokapitalistyczne już przed wojną obciążone grzechami nie tylko w oczach robotnika, podczas wojny o godność i o byt narodu wydały na siebie wyrok moralny. Niegdyś Karol Marks powiedział, że proletarjat nie ma ojczyzny. To znaczyło, że jeszcze jej nie zdobył. W czasie, kiedy patrjotyzm stał się uczuciem niewątpliwie potężnem i hasłem mobilizującem do działania, wielkie spółki akcyjne pokazały, że nie mają ojczyzny, bo to pojęcie jest im całkowicie obce.

Wewnętrzne konflikty społeczne w krajach europejskich wojna z faszyzmem przetłumaczyła na język etyki, wszystkie atuty sprawiedliwości wydała w ręce warstw pracujących, naładowała pojęcia moralne świeżym nabojem uczuciowym. Wojna wykuła nową broń, po którą zgłasza się obok chłopa i robotnika — inteligent.

W dziejach Francji, ściśle mówiąc — Trzeciej Republiki — był pewien okres niezmiernie ciekawy ze względu na udział i rolę inteligencji. „L'affaire", sprawa Dreyfusa wciągnęła w wir działalności publicznej cały świat intelektualny Francji. Dzisiejszym świadkom wymordowania trzech miljonów Żydów warto przypomnieć, że poszło wtedy tylko o jednego Żyda. Sprawa Dreyfusa, casus niesprawiedliwości sądowej, była symptomem moralnym zabagnionych przez reakcję stosunków w sądownictwie, armji, aparacie państwowym, w życiu społecznem i kulturalnem. Hasło przywrócenia sprawiedliwości pociągnęło inteligencję, poruszyło intelektualistów. Dla pisarzy i uczonych, dla poetów i malarzy sprawa moralna stała się bodźcem do walki, która oczyściła powietrze Francji z wyziewów rojalistycznych, snów dyktatorskich i uroszczeń mieszczańskich, dała możność krajowi na długie lata emitować wartości kulturalne, dzięki którym Francja stała się droga sercu miljonów ludzi na kuli ziemskiej. Inteligencja w tej walce wiązała się z postępowem mieszczaństwem i chłopstwem, z młodym naówczas ruchem robotniczym. Centralną podstawą był Zola. Kiedy głos jego zduszono, zluzował go Jaurés. W tym fakcie była skromna wymowa historji.

Po okresie „L'affaire" intelektualiści wycofali się dobrowolnie z życia publicznego. France i inni powrócili do swych gabinetów. Młodzi plastycy, jak Villard i Bonnard, zniknęli w zaciszu pracowni malarskich. W najwybitniejszej książce, obrazującej ten okres, w powieści djalogowej Martin du Garda „Jean Barois" jest melancholijna scena, kiedy po kilku latach dreyfusardzi uprzytamniają sobie, że życie polityczne toczy się niezupełnie tak, jak to sobie wyobrażali, wydaje im się, że nie doprowadzili swojej sprawy do końca. Nie mogli doprowadzić do końca, bo sama „l'affaire" nie zmierzała do przełomu. Nie dotykała struktury społecznej.

Dzisiejsza sprawa moralna jest sprawą struktury, ma głębszy zasięg i dalszą metę. Chwila dziejowa, znacznie poważniejsza, zawiera przecież dla inteligencji francuskiej — i nie tylko francuskiej — cały łańcuch analogji w walce o oczyszczenie aparatu państwowego, demokratyzację armji, przewietrzenie kultury. Niedawno ajencja Reutera rozesłała enigmatyczną depeszę; „wielcy pisarze francuscy rzucili się w wir walki politycznej z namiętnością, nienotowaną od czasów sprawy Dreyufusa". Depesza oczywiście nieścisła; nie tylko pisarze, ale i uczeni, ale i malarze. Są to symptomy ferworu, który ogarnia inteligencję.

2. PISARZ I POLITYKA

W życiu politycznem Europy powersalskiej partje robotnicze dominujące w ruchach postępowych rozciągały wpływ na inteligencję drobnomieszczańską, która zasilała je działaczami, ale był to wpływ nierównomierny, okresowo zmieniający swój zasięg. Zawiła sytuacja polityczna, niebywała w dziejach maskarada najreakcyjniejszych prądów, które przybierały pozory radykalne, rozczepiała warstwy inteligencji, predystynowane historycznie do popierania ruchu robotniczego. Ta sama zawiła sytuacja wytwarzała w taktyce partyj robotniczych zygzaki, których djalektyka niezawsze była dostępna dla inteligenta, rozumującego nie historycznie, ale raczej w sposób abstrakcyjnie - moralny.

W chwilach więc, kiedy partja robotnicza traciła na popularności wśród inteligencji drobno-mieszczańskiej, symptomatycznie następował rozdźwięk między zaangażowanym w ruchu tym, czy innym wybitniejszym intelektualistą, a partją. W ogólnym obrachunku w okresie powersalskim partje robotnicze rzadko przyciągały do siebie jednostki ze świata sztuki, jeszcze rzadziej potrafiły je przy sobie utrzymać. Czy na Zachodzie, czy u nas, żadna partja nie mogła pochwalić się tem, żeby inspirowała pisarza tej miary co Gorkij, lub poetę takiego napięcia jak Majakowski. Zresztą i u tych pisarzy inspiracja komunistów rosyjskich wystąpiła dopiero w okresie decydującego natarcia politycznego. W powersalskiej Europie w ostatnim okresie przedwojennym nacierała reakcja i faszyzm.

Artysta, zwłaszcza literat, ile że pracuje w materjale humanistycznym, rzadko kiedy mógł dogadać się z działaczem. Pisarz - inteligent niezawsze w swojej sferze twórczej nadążał za swojemi poglądami politycznemi. Ten odstęp nie znajdował rozgrzeszenia w oczach działaczy zajętych bezpośredniemi potrzebami walki politycznej. Pisarz, osaczony reakcyjnemi w istocie tendencjami w sztuce, które łudziły go nową perspektywą, wikłał się i błąkał, wtedy wytwarzał się jeszcze większy odstęp. Albo wreszcie radykalne poglądy polityczne łączyły się z krańcowym solipsyzmem w sferze twórczej. Trudno z czystem sumieniem orzekać w czambuł, co było miarodajne, poglądy czy twórczość. Jedno jest pewne: w tym okresie łatwiej było o zmianę poglądów, niż postawy artystycznej. Na tem polegał zysk reakcji.

Niektóre zjawiska poprzedniego okresu będą zanikały w nowej sytuacji. Intelektualiści, związani z dzisiejszym ruchem postępowym, mają trwalsze objektywne podstawy do rozwijania w nim swojej działalności. Zmiana poglądów będzie zjawiskiem rzadszem, młodych artystów tkwiących jeszcze w solipsystycznych złudzeniach czeka bezbolesna, dojrzalszych zaś — bolesna, pełna zawikłań zmiana postawy artystycznej. Efektowne, a reakcyjne tendencje w sztuce będą jeszcze siłą inercji kulturalnej pokutowały, tracąc podłoże swojej emisji i odświeżania się, swoją bazę materjalną, społeczno-ekonomiczną.

Z poprzedniego okresu można wysunąć zarazem wnioski na przyszłość. Przedewszystkiem to, że niepodobna na serjo budować konstrukcyj literackich na hasłach, skoro hasła są tylko zastosowaniem zasad ogólnych do warunków chwili obecnej. Poczucie trwałości swojego płodu jest nieodzowne dla każdego artysty i, jak dotychczas, praktyka literacka, nawet praktyka radziecka z lat wojny nie zmieniła faktu, że większe poczucie trwałości dają artyście rzeczy widziane w perspektywie czasu. „Cloches de Bales" i „Paysan de Paris", obie powieści Aragona na tematy polityczne, odnoszą się do okresu z przed pierwszej wojny światowej. Forsowanie prozy, która „odzwierciedla aktualnie zachodzące procesy", prowadziłoby do zwężenia wachlarza typów i temperamentów pisarskich. Jeśli z reguły wiąże się twórczość z potrzebami bieżącej walki politycznej, nie sprzyja to utrzymaniu rozmaitości temperamentów i w konsekwencji niektóre wyjaławiają się pod pozorem doszlusowania do życia mas ludowych.

Swoiste nieporozumienie można było zanotować u nas na terenie poezji. Pomniejsi działacze polityczni, opętani manją poezji agitującej i pobudzającej, nie potrafili spostrzec, że nawet wielka rewolucja rosyjska zdobyła się tylko na jednego poetę agitacyjnego. Inni wyręczają feljetonistów i po krótkim czasie stają się nieczytelni. Gdyby do tego miała się sprowadzić twórczość poetycka, byłoby to klęską kulturalną.

W każdej sytuacji politycznej układa się aktualna hierarchja tematów, która narazie przesłania wartość humanistyczną utworów. Po pewnym czasie okaże się, że większą mieli wartość oddaleni tematycznie powieściopisarze, opierający się na zdrowych podstawach obserwacji socjalnej, niż pisarze poświęcający pióro sprawom bolącym, ale dotknięci egzaltacją psychologiczną czy liryczną.

Za te zdrowe podstawy obserwacji ceni się w Związku Radzieckim klasyków, chociaż ci nie zajmowali się bytem warstw upośledzonych. W kraju tym zgoła inaczej ustosunkowano się do spuścizny kulturalnej narodu, niż sądziła drobnomieszczańska inteligencja w Europie. Stopniowe, coraz szersze ogarnianie tradycji stało się zrozumiałe dzisiaj dla inteligencji narodów europejskich, którym groziła duchowa zagłada. W ramach wychowania społecznego na określonych zasadach ideologicznych, już w ostatnich latach przed wojną odnowiło się w ZSRR zainteresowanie nawet tak reakcyjnym w swoich poglądach politycznych pisarzem, jak Dostojewski. Stało się to możliwe przedewszystkiem dzięki temu, że galerja jego typów społecznych straciła aktualność w nowym biegu życia, stała się galerją muzealną. Ceni się Dostojewskiego oczywiście nie za to, że „chwytał Boga za nogi", ale za to, że chwytał człowieka, za jego wartość humanistyczną pomimo niewątpliwą „deformację" psychiczną jego postaci, za dążenie do poznania prawdy.

Wszystko wskazuje na to, że po wielkiem zwycięstwie wojennem i patrjotycznem, po wyjściu z izolacji lat ubiegłych, zainteresowania kulturalne w ZSRR będą coraz to szersze, gdy równocześnie różnice ustrojowe między tym krajem, a innemi krajami europejskiemi nie będą się tak silnie odbijały na stosunku do poszczególnych dóbr kulturalnych, jak w okresie powersalskim. Uzgodnią się podstawowe tendencje kulturalne, kiedy masy ludowe, dochodząc do głosu w swoich krajach, przejmą spuściznę tradycji.

Szacunek dla tradycji kulturalnych rozpowszechnia się w naszych czasach wśród całej bodaj inteligencji. Poprostu niepodobna sobie wyobrazić w dzisiejszej atmosferze duchowej takiej manifestacji przeciwko tradycji, jakim był niegdyś futuryzm. Czy jednak ten szacunek dla tradycji nie będzie krępował rozwoju form twórczości, nie będzie hamował dążenia do zmian, nieodzownego w postępie sztuki, do odnowienia metod obserwacji, środków, techniki i konwencji pisarskich?

3. REALIZM I SOLIPSYZM

Okres nacierającej reakcji w Europie zaciążył na życiu duchowem inteligencji i na jej twórczości artystycznej. Odrywana od rzeczywistych ruchów ludowych, przyciągana przez faszyzm, rozpylona między siłami narastającego konfliktu, inteligencja oddalała się w swojem życiu duchowem od postawy realistycznej. Dążność do poznania praw rządzących społeczeństwem, prawdy stosunków społecznych, prawdziwych związków przyczynowych, słowem całej djalektyki życia — gmatwała się i załamywała w zwątpieniu, niechęci, negacji. W koncepcjach intelektualnych i w literaturze pięknej tego okresu na pierwsze miejsce wysuwa się podmiot odczuwający.

Taka tendencja, rozmaicie przejawiająca się w powieściopisarstwie, narusza, gmatwa albo wręcz wypiera postawę realistyczną. Powieściopisarzowi bardziej idzie pod pióro przekazywanie zjawisk tego świata i biegu życia za pośrednictwem czyjejś świadomości. Ten ktoś odczuwa, ujmuje świat, po swojemu porządkuje. Takich ktosiów może być wielu, można świat ujmować w rozmaite cudzysłowy... o ileż trudniej obywać się bez cudzysłowów! U wielu, zwłaszcza naszych powieściopisarzy, uchodzących za realistów, wszystko co dzieje się w utworze, dzieje się przeważnie tylko w świadomości upatrzonych przez autora postaci. To przeładowanie świadomości ludzkiej, ten nadmierny ładunek myślenia i przesada odczuwania, nazywana w kołach literackich psychologizmem, fałszuje oczywiście obraz człowieka i całą djalektykę życia.

Ta sama tendencja w inny sposób przejawiła się jeszcze przed pierwszą wojną w impresjoniźmie literackim, którego najwybitniejszym przedstawicielem był wtedy Knut Hamsun. Świat związków realnych zaczął rozpływać się w plamach wrażeń, rozpadać, znikać... Odwracając się od związków przyczynowych świata zewnętrznego, impresjoniści utorowali drogę dla postawy pisarskiej, która zjawiła się w okresie powersalskim. Przez analogję do systemów filozoficznych, które przypisują byt realny tylko odczuwającemu podmiotowi, można tę podstawę nazwać solipsystyczną.

W okresie powersalskim obok przedstawicieli postawy realistycznej (du Gard, Galsworthy, Duhamel, Romains, katolik Mauriac, u nas Dąbrowska) wypłynęli pisarze wywołujący szczególne poruszenie w sferach literackich, zjawił się Joyce z swoim światem molekularnego chaosu („Ulisses") i światem związków mitologicznych („Dzieło postępujące"); w ślad za nim pozaczasowe konstrukcje Wirginji Woolf („Orlando"). We Francji zrodził się z powieści Allaina Fournier „Grand Meulnes" kierunek literacki zwany realizmem magicznym, łączący elementy rzeczywiste logiką dziecięcą.

Idealistyczne tendencje filozofji natury, utrzymywane w tymże duchu interpretacje nowych teorji fizykalnych, poglądy angielskich popularyzatorów-fideistów, cała atmosfera intelektualna powersalskiej Europy wspomagała tę inklinację. Rzecz prosta, utwory literackie nie ilustrują teorji filozoficznych. Utwory literackie i teorje filozoficzne zjawiają się w innych przekrojach życia duchowego, wyrastają przecież ze wspólnych tendencyj. Dla powieściopisarza teorja filozoficzna może się stać pomocniczem źródłem inspiracji. Pisarz, który stracił chęć czy zdolność do racjonalnej obserwacji i odwrócił się od niej, szukał oparcia gdzieindziej. Marceli Proust świadomie szukał oparcia dla swojej postawy solipsystycznej u Bergsona. Sartres uprawiał beletrystykę huserlowską, surrealiści odwoływali się do psychoanalizy. Inni budowali własne systemy napół serjo. Franz Kafka dla każdej ze swoich dwóch niedokończonych powieści konstruował swoistą scholastykę religijną.

Wynalazki w dziedzinie techniki pisarskiej, rozjątrzenia stylu pochodziły właśnie od tych powieściopisarzy, choć nie od wszystkich. Przedstawiciele postawy realistycznej utrzymywali się w normach prozy narracyjnej, w dążności do niepoznawalnego stylu. Nieuniknione były pewne zakłócenia (Dos Passos) i wyrafinowane próby syntezy (świetny debjut Melaquais przed samą wojną).

Kluczową pozycję zajmuje twórczość André Malraux. Rozjątrzenie stylu, komplikacja formy występuje w „Doli człowieczej", w powieści, w której równocześnie objektywizuje się walka obu postaw, solipsystycznej i realistycznej. Zanim wyłoniła się oczyszczona postawa realistyczna w „Nadziei" ze znormalizowanym stylem, nastąpiła niby w procesie przemiany atomu emisja drobnego ładunku: „Czasy pogardy". Tutaj swoje inklinacje solipsystyczne i swoje dążności do komplikacji stylu Malraux wyładował w umowie z czytelnikiem, jakoby to wszystko było objektywnie uwarunkowane więziennem odosobnieniem bohatera. Taki jest sens tego utworu w rozwoju samego autora, w przemianach jego sfery twórczej.

Nie lękajmy się uogólnień czy hyperbol, które upraszczają, ale i klarują pewne sprawy. Czasy pogardy — okres narastania sił faszystowskich — były dla inteligencji czasami solipsyzmu. Pierwszą właściwą okazją do pokonania tej inklinacji dawała jej wojna domowa w Hiszpanji. Tam się rozegrał pierwszy tragiczny akt wielkiej sprawy moralnej naszych czasów, pierwsza w okresie imperjalizmu patrjotyczna wojna w Europie, pierwszy akt sojuszu inteligencji z klasą robotniczą i chłopstwem.

4. DROGI MALARZY

W tym samym czasie, kiedy Malraux na polach walki demokracji w Hiszpanji pokonał w swojej twórczości inklinację solipsystyczną, inny artysta, również zaangażowany w tej walce, Pablo Picasso malował swoją „Guernikę". Niedawno podczas przyjmowania Picassa do francuskiej partji komunistycznej mówiono o tem, że „Guernica" wyrosła z miłości do ludu hiszpańskiego. Najprostsza ocena — niewątpliwie słuszna.

Z nazwiskiem Picassa wiązał się bardzo hałaśliwy okres w plastyce. Najgłośniejszy malarz w Europie powersalskiej elektryzował snobistyczne warstwy odbiorców, wyhodował nie jeden, ale kilka prądów, ciągnął za sobą tren naśladowców, uchodził za żonglera wizji malarskiej. Przerzucał się od stylu do stylu, uzasadniał to nakazem temperamentu własnego, stawiając ten imperatyw ponad wszelkie normy, co oczywiście niewiele tłumaczy. Tyle tylko, że można mu było przypisywać temperament awanturniczy, ale niepodobna mu było odmówić wspaniałego opanowania rysunku i formy, no i wielkiej siły inicjatorskiej.

Mówiąc o bujnem życiu malarskiem we Francji, trzeba pamiętać o dwóch rzeczach. Miało ono silną bazę wielkokapitalistyczną i układało się na tle nawarstwień kultury malarskiej narastających od kilkuset lat. Wpływy francuskie przenoszone do Polski zawisły niejako w próżni społecznej, z braku tak szerokiej bazy. W kraju o nikłych tradycjach malarskich, zjawiska, zrozumiałe we Francji, traciły swoją regularność rozwojową, wpływy docierały rozstrzelonemi promieniami. Malarze, oporni wobec tej „zgnilizny zachodu", pielęgnowali jakoby tradycje swojskie, właściwie zaś przejmowali wpływy francuskie aż do impresjonizmu Maneta — społeczną ich bazą było średnie obszarnictwo ze swojemi kapitalistycznemi koligacjami. Pod pretekstem zdrowej sztuki narodowej uprawiali swojską żmurszczyznę, kreowali się na Holendrów, na barbizończyków, odgrzewali monachijskie sosy. Ci podawali się za realistów. Malarze bardziej niespokojni, modernizujący, a przytem w życiu politycznem zbliżeni bardziej do ruchów postępowych, mieli bardzo wąską bazę społeczną, w swoisty sposób mieszaną z elementów wielkokapitalistycznych i drobnomieszczańskiej inteligencji. W twórczości swojej orjentowali się na Francję.

Paryż stał się w tym czasie Mekką malarzy. Była w tem i konjunktura kulturalna, oparta na gospodarczej i handlowej, ale było i coś więcej. Promieniowanie francuskiej kultury malarskiej na całą Europę datuje się od czasów impresjonizmu. Pielgrzymujący do Paryża plastycy nie tylko podchwytywali przelotne „izmy", tam poprostu uczyli się malować. Nawet najbardziej nieufni przejmowali się Cézannem i zaczynali poszukiwać swojej własnej wizji malarskiej . W plastyce tego okresu można wyśledzić sporo ekstrawagancji, ale dopatrywać się jej w samem dążeniu do odrębnej wizji byłoby conajmniej przesadą. Sygnałem ostrzegawczym powinno być już choćby to, że było to dążenie powszechne.

Niefortunne pojęcie „deformacji" przyczepione do wizji malarskiej dało asumpt do przeciwstawiania jej realizmu, przyczem realizm pojmuje się jako pewną normę umowną, której odpowiada powszechne w społeczeństwie widzenie urody świata. Stąd wiele nieporozumień. Żadnego miłośnika realizmu w literaturze nie przeraża „udziwnienie świata", właściwe nawet takiemu epikowi jak Tołstoj, czemu więc miałaby niepokoić go specyficzność wizji u malarza? Kto ją wyklina, ten oczywiście wylewa dziecko wraz z kąpielą. Takiemi egzorcyzmami niepodobna pokonać sprzeczności między jednostką a kolektywem, można tylko pokonać malarstwo.

Element humanistyczny inaczej załamuje się w utworze literackim, inaczej w plastyce. Jeszcze inaczej w muzyce. Używa się tych samych terminów, jak realizm, jak impresjonizm i t. p. dla zjawisk pokrewnych, tak samo społecznie i historycznie zdeterminowanych, nie uwzględniając jednak autonomicznego rozwoju poszczególnych gałęzi sztuki. Wiedza przyrodnicza, mało istotna dla powieściopisarza, w pewien swoisty sposób interwenjuje w malarstwie. Z tego choćby względu inspirowany przez wiedzę optyczną impresjonizm Cézanne'a przynosi decydujące zdobycze postępu w zakresie barwy i kształtu, gdy tymczasem konserwowanie fotograficznego światłocienia, zasłanianie głębszej prawdy prawdopodobnemi pozorami będzie tendencją reakcyjną.

Inna sprawa, że w martwych naturach, pejzażach, aktach, nawet niektórych scenach rodzajowych temat jest obojętny moralnie. Nic innego, jak obojętność moralna, przewijająca się również w utworach literackich tego okresu, zaciążyła w Europie powersalskiej na doborze tematów. W twórczości Picassa „Guernica" jest bodaj pierwszym tematem, który angażuje malarza moralnie. Już to samo wpływa na rodzaj wizji, ściąga ją do konkretności, normuje formę. Jeżeli takie obrazy, zachowujące równowagę etyczną między tematem a wizją, nie podpadają pod przyjętą koncepcję realizmu, to życie naszego okresu zrewiduje nie wartość obrazów, ale słuszność tej koncepcji.

Odrodzenie się tematów, angażujących moralnie, musi oczywiście wpłynąć i na charakter wizji, unormować ją nawet w tematach zdawałoby się obojętnych.

Dziś oczywiście można jeszcze natrafić na coś wręcz przeciwnego. Młody, może utalentowany malarz namaluje w stylu dekoracyjnym gwasz, czołg na murawie będzie podobny do wesołej żabki, ludzie stratowani do kluczyków Yale, a wszystko w uproszczeniu dziecięcym — do cacka. Rzecz będzie mała, a nietakt wielki. Można się wyrzec świadomie zmysłu realności, poczucia moralnego nie można się wyrzec świadomie, to poczucie zatraca się w jednej epoce, odzyskuje się je w innej.

5. LOSY KULTURY POETYCKIEJ

To samo można powiedzieć o młodym poecie, który pisze o przemarszu wojska tak, że niewiadomo jakie to wojsko, polskie czy niemieckie, czy wraca rozbite, czy idzie po zwycięstwo. (Ten przykład, podobnie jak z malarzem, jest oczywiście zmyślony). Dla wielu poetów, zwłaszcza młodszej generacji, obojętność moralna stała się legitymacją wstępu do urojonej krainy, gdzie odbywają się igrzyska zmysłów i myślątek. Poezja zaczyna się dla nich dopiero, kiedy ich doznania przechodzą przez filtr odbarwiający moralnie. Wojna postawiła taką poezję, taką tendencję kulturalną w jaskrawej, poprostu żenującej kolizji z rzeczywistością. Dlatego, że jest to wojna narodowa, która będzie miała swój dalszy ciąg w wielkiej sprawie moralnej naszych czasów.

W malarstwie można mówić o tematach obojętnych moralnie. Niepodobna rozciągać tego na dziedzinę tak humanistyczną, jak poezja. Ucieczka do żadnego tematu, ani ucieczka przed jakimkolwiek tematem nie ocali takiej tendencji. Może ona dogadzać tylko tym, którzy nie mają za sobą żadnej racji moralnej. Skazana na zagładę, może jeszcze przedłużać swoje konanie tylko na bazie rozbitych elementów reakcyjnych i stać się wyrazem ich bezsilności.

Poezja żywiej niż jakakolwiek dziedzina twórczości, ukazuje tendencje kulturalne swojego okresu, ujawnia je w elementarnych włóknach, jak pod szkłem powiększającem. Zdaje się nawet, że niektóre tendencje wcielają się wyłącznie w poezję, nie znajdując ujścia gdzieindziej — uderzają w najwrażliwszą komórkę życia duchowego. Tylko w poezji mogła rozwijać się mistyka eschatologiczna, która w latach okupacji i terroru niemieckiego odbijała nastroje rozpaczy w warstwach inteligencji odciętych od działania i niedostrzegających prawdziwej jutrzenki na Wschodzie.

Przełom w życiu narodu sięgający struktury społecznej, wywołuje najsilniejsze wstrząsy w tej właśnie komórce życia duchowego. Tendencje kulturalne poprzedniego okresu obumierają nie tylko w poezji refleksyjnej, w której bezpośrednio odbijają się idee polityczne i moralne, ale również — czy spodoba się to komu, czy nie — w poezji stanów uczuciowych, w liryce.

W okresie powersalskim, życie poetyckie u nas, barwniejsze niż w innych krajach, ale oparte na bardzo wąskiej bazie odbiorczej, odbijało wszystkie kołysania, sprzeczności i rozdarcia w łonie inteligencji, której charakter zmienił się w stosunku do okresu Młodej Polski o tyle, że nabrał wybitniejszych cech drobnomieszczańskich. Inteligencja ta wchłaniała w siebie dopływ zdeklasowanych elementów ziemiańskich i połowicznie związane ze swoim gruntem elementy chłopskie, co nadawało jej swoiste zabarwienie.

Pierwsza generacja powojenna nadrobiła braki kultury poetyckiej wynikłe z zacofania w stosunku do krajów, które w poprzednich okresach przodowały. Kultura słowa parnasistów — Rimbaud — symbolizm rosyjski i częściowo francuski, to wszystko niewątpliwie zostało włączone jako nawarstwienie, na którem formowała się poetyka „Skamandra". Koneksje poetyckie z Francją nie sięgały do Stefana Mallarmé.

Ta poetyka, operująca symbolicznemi ogólnikami, nie wystarczyła nowatorom, którzy próbowali zerwać z symbolizmem i mimo powikłań w dalszym biegu życia literackiego wnieśli przecież poważny wkład do kultury poetyckiej. Brutalna reklama i umiejętna sugestja skamandrytów, po dziś dzień działająca na odbiorców drobnomieszczańskich załamała się o następną generację poetów, którzy odwrócili się od ich poetyki całkowicie. Generacja ta włączyła natomiast do swojej praktyki nowe nawarstwienie francuskiej kultury poetyckiej. Naturalnie zabrakło tej równomierności rozwoju, co we Francji, w tym kraju klasycznego przebiegu zjawisk kulturalnych. Zacofanie i nierównomierny rozwój ekonomiczny, presja kultury obszarniczej z jej ciążeniem do baroku, cały łańcuch przyczyn, który wraz z niewolą polityczną składał się na nierównomierny rozwój poezji w poprzednich okresach, działał i nadal, kiedy niepodległa Polska ocknęła się w okresie imperjalizmu. Wpływy czy tylko koneksje z lirvką francuską wytwarzały u nas niezrozumiałe skoki, na zacofanym gruncie społecznym łączyły się z niepokonanemi jeszcze tendencjami Młodej Polski, dawały prowincjonalną szarżę, gmatwaninę wyrafinowanych i wulgarnych środków poetyckich, albo też prowadziły do mistyfikacji. Bo astrakcyjny Paul Valéry nie przestaje być zrozumiały dla kartezjańczyka wychowanego na klasycyźmie, natomiast polskie wiersze typu abstrakcyjnego doszły do jakiejś bezczelnej pseudologji, która ma ton poetycki.

W ostatecznym obrachunku inteligencja drobnomieszczańska w okresie powersalskim, dając utwory obarczone ułomnością swojej sytuacji historycznej, podniosła jednak na wyższy szczebel kulturę słowa poetyckiego w porównaniu z Młodą Polską. Na tle nierównomiernych procesów kulturalnych odzyskała zagubione w osobliwych kolejach naszej liryki cechy mickiewiczowskiej poetyki, odkryła, choćby — poprzez Rimbauda — jego waloryzację słowa, tę magję, której nie dostrzegli profesorowie uniwersytetu, ani — co napozór dziwniejsze, nie dostrzegły całe generacje poetów. Odnalazła także w Norwidzie, wśród rudymentów jego idei rzemieślniczo-artystowskich, cenne dla postępu praktyki poetyckiej zdobycze.

Zachowanie tej kultury, możliwość połączenia jej z nowemi tendencjami zależy tylko od tego, w jakim stopniu resztki tej inteligencji zdziesiątkowanej przez okupanta, zwiążą swój los z masami ludowemi, ze sprawą moralną naszych czasów. Napływ nowej inteligencji z warstw chłopskich ze zrozumiałych względów nie może wnieść doświadczenia kulturalnego. Jedynie współdziałanie starej i nowej inteligencji daje nadzieję pomyślnego rozwoju kultury poetyckiej i nie tylko poetyckiej.

W nowej sytuacji społecznej podstawową tendencją kultury artystycznej będzie dążenie do jednolitości. Mijają czasy pięknoduchów, ale też minęły czasy odrębnej poezji „proletarjackiej". Likwiduje się obszarnictwo — to pociągnie za sobą likwidację „kwadransów chłopskich". Nie będzie można hodować chłopa w rezerwacie, konserwować w utworach literackich gwary ludowej, czy owego czaru naiwności, który pryska w zetknięciu z kulturą innych warstw. Będzie szło ku zrównaniu. W dół, czy w górę — to już zależy od udziału i roli inteligencji w ruchu postępowym. Dzisiaj historja dała jej szansę.

Adam Ważyk

ZBIGNIEW PIOTROWSKI

U dna milczenia...

Kwiaty na oknach te same.
Gdy pomruk dział przybliżał grozę o drżenie szyb
zamknąłeś — uchodząc — rzęsami
wybuchające w ciemność geranje.

Pustka pozostała
jest boleśniejsza od milczenia.

Zegar
zamilkł na ostatniej nucie
i sam nie wiesz
czy ty, czy czas stanął jak kamień.

Ale już dzień wczorajszy
(gdy miasteczko dopłynęło do brzegów świtu)
zgasł
i modlił się tylko kościół bez krzyża
płomieniem —
nie mogąc wejść we wczorajsze ulice.

Lublin, październik 1940

STANISŁAW JERZY LEC

O Lucynie Herz, Wojsk Polskich podporuczniku

Wieść pierwszą mi z gazetą polową wniósł kapral.
Przez kwaterę przewionął i eter i karbol.
Wieść:
„Porucznik Herz Lucyna jest ciężko raniona.
Amputacja nóg obu. Walczą o jej życie."

„To podczas przejścia Wisły z Pragi do Warszawy,
gdy na czele kompanji swojej fizyljerów..."

Możesz odejść, kapralu, tego nie referuj —
to ma swoją historję, wspomnę leśne sprawy.
Wspomnę, wspomnę, tak było.

Na błysk naszych wzruszeniem podsyconych [ognisk
z nieba spadła dziewczyna w noc parczewskich [lasów.
Spadochron — karuzeli powietrznej parasol
wiatr przychylny na łąkę śródleśną nam odniósł.
Było skoczków pospolu chłopa siedemdziesiąt
w tym desanckim oddziale u majora Klima.
Z moich leśnych bandytów niejeden się zżymał,
słyszałem to o świcie: „Tę smarkatą gdzież ją
z pieluch podporucznikiem... To ci spoza frontu!"
A ona pośród swoich wielki miała posłuch.
Widziałem ją—maskotkę—wśród wojaków rosłych
tak uroczo poważną i w drelichu wątłą,
gdy stawieni w szeregu za chłopską stodołą
uderzyli pod niebo odzyszczoną „Rotą".
Było strasznie i cudnie. Cynik — stałem oto
z siedmiobarwiem łez w oku. O pień wsparłem [czoło,
łzy mi liście spijały i pachniały Polską.
Tak witało ojczyznę z nieba spadłe wojsko.

Czas, las zbliżał do siebie. Padało w ognisko
słowo w ślad za sośniną, za westchnieniem gałąź.
Podziwiałem, Lucyno, jak to życie brałaś.
Ty, kształcona w Paryżu, byłaś traktorzystką
dzielną w wschodnim kołchozie.
Kiedy szliśmy na wieś,
do munduru sztubacki przyciskałaś zeszyt.
Czy tam w znaki chemiczne wklęłaś czas co [przeszedł?
Nie! To była stężona, złowróżbna nienawiść!
Rzekłaś słowo Warszawa i dziecięcym ruchem
wieże wznosiłaś rączką, znaczoną wybuchem.

Nas oddalał i zbliżał partyzancki kadryl
tropionych przez esesów, szczutych przez
mongołów,
gromadził nas na łąkach spadochronów połów,
rozrywała znów pogoń, by nas łączył patrol.
Las nas poznał. Los dzielił. Los ukryty w cyfrze.
Został mi po Niej podziw.
I przyznam — najtkliwszy.

Wspomnę.
Nie było Jej przy nas.
Droga, w czerwcu i nocą, wiodła na Zawieprze.
Pluton sztabu wzmocniony, chłopaki najlepsze
z bataljonu pierwszego. Księżyc o żelazo
dzwonił piosnkę o nocy, któraby i z głazu
wycisnęła kropelkę śpiewu. Wzdłuż taboru
szliśmy milcząc, w milczeniu wyniesionem z boru.
Rozkaz, który kompasem był naszego mózgu,
przeczuwał każdy żołnierz i on w marszu niósł go.
Automaty i dyski szczękały na wozach.
Rozkaz — znałem go — spełnić, twardy to był [orzech.
Kraj — cóż — podmokły zdradą i grząski od [przeszkód, —
kraju trza bronią bronić, łaknie jej jak deszczu.
Zrzut trzeba rozprowadzić w garnizony wiosek,
by zbrojne było wojsko, choć gołe i bose.
W chatach chłopi czekają; warszawski robotnik
co poznany przez szpicla zdołał się ulotnić
z oboźnego transportu; Żydzi pojedyńczy
odkopani z dna grobów; poszukiwacz przyczyn,
inteligent świadomy; z pracy zbiegły junak, —
wszyscy na nas czekali. Szliśmy na werbunek.

Tor nam drogę przecinał. Przez nasyp najkrócej.
Wzdłuż nasypu przy bunkrach gwizdali Bahn- [schutze.
Z dna uszu nas doleciał pociąg sapiąc naszem
zmęczeniem. Jakby blacha u nitu podcięte
niebo biło w zderzaki. To szedł transport maszyn.
Trzeba było przeczekać. Czas łaskotał pięty.
Gdy wtem w serca uderzył strumień doniebnego
gromu. Wybuch. Noc ranna. To dymił dynamit.
Skręcał się paląc pociąg. I milę od niego
drgala cisza, jak ryba łuszcząc się błyskami.
Szliśmy dalej na zachód. Rosa grała w trawach.
Transport wroga przerwany.
To była jej sprawa.

„To podczas przejścia Wisły z Pragi do Warszawy,
gdy na czele kompanji swojej fizyljerów
opuściła pod ogniem wiślany brzeg prawy
i padł nareszcie rozkaz: na lewy brzeg steruj..."
Lecz po cóż to, pomilczmy. Tak jak ból był niemy.

Druga wieść była krótka. Chwyciła za gardło.
Wspomnienie po Tobie, które nie umarło,
za Wisłę, do Warszawy, do Twojej wniesiemy.

Miejsce postoju, październik 1944

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

W imię twoje

1

Mieszkasz tam, dokąd nie dotrze nikt inny prócz ciebie: w lzie mojej.
Blisko, bliżej niż słowa najbliższe, których nie umiem odgadnąć.
Jesteś tak blisko mnie, jak ja chciałbym być blisko ciebie.

Jesteś tak blisko mnie, że porozumiewamy się uderzeniami serca,
tak blisko, że aby być dalej, musiałoby przestać moje życie, w którem żyjesz, zgasnąć moja myśl, w której myślisz, musiałbym zbudzić się ze snu, w którym śnisz.

Jesteś tak bliska mi, że bliższa niż dzień dla nocy, a cień dla światła.
Tak bliska, że słowa które dla ciebie układam, znasz zanim je pomyślę.
Jesteś tak bliska, że nie wiem, gdzie kończy się ty a zaczyna ja.

Kwiaty, które mijam, kwitną twojem spojrzeniem.
Ptaki które opuszczam, w twojej dłoni się gnieżdżą.
Widok którym upływam, wytryska z twoich źrenic.
Gwiazdy których nie słyszę, twoje zwierzenia milczą.

Jesteś tak bliska, że aby cię ujrzeć nie potrzebuję ani otwierać, ani zamykać powiek.
Tak bliska, że słyszę cię, jak głuchoniemi słyszą wzruszenie.
Tak bliska, że włosy twoje czuję dłonią tak wyraźnie, jak kaleka obecność uciętej ręki.

Jesteś mi tak bliska, że zdajesz się jeszcze zadaleka.

2

Kraj twój jest z tego świata, w którym tam jest jednocześnie tu.

Kraj twój jest tak wielki, że nie pomieści go życie w najniklejszej skali człowieka, a tak mały, że jedna myśl go ogarnie.

Kraj twój jest tak potężny, że wstrzymuje tysiąc śmierci na mgnienie, a tak słaby, że ustępuje przed jednem drgnieniem serca.
Ziemia twojego kraju jest tak żyzna, że każdy promień słońca dojrzewa w niej kolorytem Cézanne'a. Powietrze tak czyste, że przewiduje konstrukcję przyszłego spojrzenia.
Ogień twojego kraju spala moją za nim tęsknotę a woda zaspokaja moje o nim wyobrażenie.

Pola twojego kraju wschodzą i zachodzą jednem tchnieniem, które nie jest porą żadnego roku.
Góry stają się obłokiem szybciej niż kwiat wzruszeniem, chociaż są z równie długotrwałej materji jak góry w moim kraju.

Kraje nasze są tak odmienne, że przeczuwają się jedynie;
tylko niziny i wzniesienia widzą się nawzajem z lotu ptaka odlatującego bezpowrotnie.

3

Ojczyzna twoja jest tak świetna, że Ziemia jest jedną z jej kolonji.

Ojczyzna moja jest tak uboga, że dzieci jej nie śmią myśleć o niej.

Ojczyzna twoja jest Republiką, wobec niej wolność, równość, braterstwo są tyranją.

W ojczyźnie mojej ludzie są tak niemi, że jej ustroju nie nazywają.

Ojczyzna twoja jest tak dawna, że przeszłość jej w dziejach świata jest abstrakcją.

Ojczyzna moja jest tak młoda, że serca jej całem życiem za jedno drgnienie płacą.

W ojczyźnie twojej nikt chwili nie zmierzy, bo nie ma początku ni końca.

W ojczyźnie mojej wieczność jest tak krótka, że nie przeżyje dwóch promieni słońca.

W ojczyźnie twojej myśli są wymowne, że słyszą je głusi.

W ojczyźnie mojej od wybuchu bomby ogłuchli bezdrożni Chrystusi.

W ojczyźnie twojej życie trwa tak długo, jak długo wspomnienie żyje w moim kraju.

W ojczyźnie mojej nikt się już nie rodzi, a ci co żyją — umierają.

4

Z kraju mojego pozostały już same cienie pod oczami wdów i sierot.
Na ustach zamarło jego imię, w oczach spłowiały jego barwy.
Drzewa umknęły korzeniami wgłąb.
Rzeki odpłynęły bezpowrotnie.
Góry wybuchły nieskończenie.

Z kraju mojego pozostała grudka niepoświęconej ziemi.
Drogi uprowadziły ostatnie kroki skazańców.
Łany zszeptały pola modlitwą za konających.
Na drogowskazach donikąd skonało ukrzyżowane powietrze.

Zapadły się wszystkie widoki pod wyrzutem zgasłego spojrzenia.

Pękło serce mojej ziemi od tylu wyczerpanych uderzeń ludzkiego serca naraz.

(Zanoszą się deszczem serdecznym obłoki na niebie).

Z kraju mojego pozostała moja za nim tęsknota.

Z kraju mojego pozostała twoja doń miłość ogromna.

5

W imię twoje żyję bez tchu na planecie widzianej z nazbyt bliska.
Wzrok uleciał z moich oczu, a dotyk opuścił moje dłonie.

Jak własny krok ominąć?
Jaką drogę odgadnąć?
Jakim znakiem zażegnać grożące świata strony?
W imię twoje.

Gdziekolwiek jestem,
Ptaki rozstrzelane za wolność spadają na moją głowę.
Pola krwawiące w wojennych komunikatach atakują moje serce.
Zabłąkana łza rozrywa wnętrzności moich myśli.
Gdziekolwiek jestem, żyję w imię twoje.

W imię twoje żyję z piędzi ziemi zatratowanej na śmierć,
z płaczu brzóz, odlotu ptaków,
z krzywdy ludzkiej i skargi.

W imię twoje zamieszkam w niepokoju na wieczną porę życia.

W imię twoje niepostrzeżenie upłynę z powiek.

W imię twoje powędruję dokoła świata śladami bezdomnych mrówek.

Prośba

Domilczam słowo i opadam z tchnienia.
Czy zdążę dożyć? Czy życie się cofnie?
Na umówione twego serca drgnienie
czy będę mową, czy też niewymownie?

Usypiam ziemię kołysaniem drzewa,
ścielę powietrze dla ptaków na nocleg.

Nim słuch muzykę do ciszy ułoży,
usłysz mnie — abym się rozległ.

Wzrok mi się dłuży w twoje oddalenie,
w stronę bez świata, w gwiazdkę nim zapłonie.
Czy w twoich oczach będę zawsze cieniem,
czy takiem światłem, że aż niewidomie?

Na głód, pragnienie, na wojnę i pokój
jestem bezradny, nie mam już łzy w oku.
Z mojego życia wschodzi słoma żytnia.

Nim wzrok za widok bez powrotu zajdzie,
ujrzyj mnie — abym widniał.

Oddaję rzeczom to, co było rzeczy,
bo ich radości, moje były bóle.
Czy ty swą dłonią możesz mnie uleczyć,
bym był bez wzruszeń, gdy będę nieczule?

Ziemię za życia zagrzebuję w niebie,
wiązankę wiatru składam na jej glebie,
wzruszam kamienie dla siebie na łoże.

Nim dotyk skrzepnie w formę jednej dłoni,
dotknij mnie — abym ożył.

STANISŁAW NADZIN

Krótkie opowiadania

DOM

„Staliśmy od szeregu miesięcy wciąż na jednem miejscu — opowiadał mi porucznik Chodak. — Zima zastała nas tu niespodzianie i musieliśmy sobie zbudować linję obronną. Jak za najlepszych czasów z tamtej wojny. Jakgdyby i teraz walka nosiła charakter pozycyjny.

Któregoś dnia poszedłem skontrolować nasze placówki wysunięte dość znacznie naprzód. Wracałem naprzełaj — przez pagórek, częstogęsto ostrzeliwany przez Niemców. Tym razem znowu wpadłem pod obstrzał. Przyspieszyłem kroku.

Aż tu — dołem jedzie samochód. Poznałem: maszyna dowódcy dywizji. Generał zatrzymał auto, zimno mi się zrobiło. Stary nie lubił, żeby żołnierz czy oficer lekceważył niebezpieczeństwo. Nazywał to niepotrzebną .brawurą i jeszcze tam jakoś.

Kombinowałem właśnie, jak się tu wytłumaczyć, kiedy generał przywołał mnie do siebie.

— Na rozkaz, obywatelu generale.

— Dokąd idziecie, poruczniku? — spytał.

— Do domu, obywatelu generale.

Stary zastanowił się przez chwilę, a potem — tak przynajmniej mi się zdawało — uśmiechnął się pod wąsem:

— Daję wam — powiada — poruczniku Chodak, dziesięć dni urlopu. Adjutant, zapisać!

A widząc moją zdziwioną minę, dodał:

— Za to, żeście swoją frontową ziemiankę domem nazwali.

Zatrzasnął drzwiczki samochodu i odjechał".

PAMIĘTNIK

Piszących pamiętniki spotykałem na froncie wielu. To też niezbyt mnie to zainteresowało, gdy dowiedziałem się, że chorąży Winnicki zapisuje w książce polowej swoje przeżycia. Uderzyło mnie dopiero to, że, w przeciwieństwie do innych pamiętnikarzy, nie kryje się z tem przed kolegami.

Któregoś dnia wdałem się z nim w rozmowę.

Powiedział mi, że nosi się z zamiarem napisania powieści o wojnie. Notuje wydarzenia i myśli po to, ażeby w przyszłości wyzyskać ten materjał. Interesował się techniką pisarską, szczegółami z życia autorów, ich poglądami na twórczość.

Opowiedziałem mu pewnego razu, jak jeden z rosyjskich pisarzy (jeżeli się nie mylę — Kuprin) porównuje artystę do człowieka, idącego w tłumie, brzegiem morza. Wszyscy idą tą samą drogą. Ale artysta znajduje na piasku muszle dziwnych, pociągających kształtów, których nie dostrzegają inni... Winnickiemu bardzo się to spodobało.

Chętnie i bez cienia fałszywej skromności pokazywał mi swoje notatki. Nie można im było odmówić wnikliwości. Były ponad wszelką wątpliwość autentyczne. Ale na tej podstawie nie można jeszcze było autorowi niczego rokować na przyszłość. Bardzo byłem ciekaw notatki o pierwszym boju, w którym Winnicki weźmie udział. I wreszcie przeczytałem ją:

„12 października... Wstąpiliśmy w bój dwunastego. Notuję tylko datę. Resztę — jak mi się zdaje — i tak zapamiętam".

I talent Winnickiego pozostał nadal zagadką.

BOJAŹŃ

Sierżant Dudziak opowiadał mi o strzelcu Magdzie:

„Przybył do naszej kompanji z zapasowego pułku, w przeddzień naszego wyjazdu na front. W drodze zrobił na nas wszystkich jak najgorsze wrażenie. Nie wiedzieliśmy kto zacz i co umie. Toteż nie stawialiśmy go na posterunku obrony przeciwlotniczej, ani na wartę nie posyłali. Magda zaszył się w kąt wagonu i kiedy alarm ogłaszano — zębami szczękał.

Myśleliśmy poprostu — tchórz.

Ale kiedy wstąpiliśmy do boju, żołnierz okazał się pierwsza klasa. Erkaemista wyborowy — strzelał nadzwyczaj celnie, był opanowany, wytrzymały na trudy i śmiały nad podziw. Chłopcy wypominali mu nieraz pierwszą wspólnie przebytą podróż.

— Bałeś się — powiadali — a teraz jesteś ostrzelany.

Magda pozwalał z siebie pokpiwać. Sam także śmiał się razem z innymi. Aż tu dopiero! Zranilo go w ostatnim boju i kiedy go tak z obandażowaną głową kładli na wóz, pochyliłem się, żeby go ucałować.

— Wy, panie sierżancie — powiada Magda do mnie — myśleliście pewnie, że ja wtedy w wagonie, o życie drżałem? Nie, panie sierżancie, nie w tem była rzecz... Ja wtedy, widzicie, na front pierwszy raz w życiu jechałem i aż mnie cosik we wnętrzu ściskało, żeby dojechać... Ja, panie sierżancie, nie śmierci się bałem, ale tylko tego, żeby mnie ona — podła — przed czasem nie pochwyciła. Żeby mnie te hycle po drodze nie utrącili... A teraz — to już się nie boję... Chcę żyć, bo chcę. Do kompanji swojej chcę wrócić, panie sierżancie. Ale gdyby tak przyszło umierać, to wiedziałbym, że tyle, com w życiu zdążył — zrobiłem.

Tak to było z tym erkaemistą Magdą, który w pociągu zębami szczękał"...

SZCZĘŚCIE

Siedzieliśmy w nawpół rozwalonym, murowanym budyneczku, na skraju przedmieścia i czekaliśmy rozkazu do rozpoczęcia szturmu.

Domek służył za chwilowe miejsce postoju dowództwa i dlatego, że było wśród nas dwóch czy trzech „zawodowych inteligentów", a może i naskutek tego, że na stole znalazła się skądsiś gazeta ze spisem odznaczonych na pierwszej stronie, — gazety tej zresztą nikt nie czytał — rozpoczęliśmy rozmowę o bohaterstwie, odwadze i szczęściu.

(Niewątpliwie literaci mają słuszność, mówiąc, że żołnierz przed bojem myśli o jedzeniu i amunicji, papierosach i broni, słowem o wszystkiem, tylko nie o bohaterstwie. Ale i od tej zasady, jak i od każdej innej, są wyjątki).

— Bohaterstwo polega na tem — powiedział Kazik — żeby mieć szczęście. Bohater to taki, któremu się udało.

Poczęliśmy przypominać sobie bohaterskie czyny kolegów: Władka, który w czasie okropnego nalotu zestrzelił z karabinu samolot nieprzyjacielski. Staszka, który spod ognia zaporowego niemieckich moździerzy wyniósł rannego dowódcę pułku. Zygmunta, któremu gdy wracał ze zwiadów z cennemi bardzo wiadomościami, kula niemieckiego strzelca wyborowego przebiła płaszcz i mundur i zatrzymała się o sprzączkę od paska, nie czyniąc mu najmniejszej krzywdy.

Wtedy najmłodszy z nas, Józek, powiedział:

— Ażeby stać się bohaterem, trzeba mieć szczęście podwójne. Pierwsze, to szczęście zwykłe — wyjść cało z opresji. Zato drugie polega na tem, żeby znaleźć się w sytuacji, rodzącej bohatera... Trzeba mieć szczęście, ażeby spotkać się z przeważającą siłą wroga, lub znaleźć się w dostatecznie małej odległości od nieprzyjacielskiego czołgu... Żeby stanęło przed tobą takie zadanie, którego wykonanie wymaga bohaterstwa.

W tej chwili do mieszkania wszedł łącznik i przyniósł rozkaz dowódcy pułku, że za pięć minut zacznie się szturm.

Wstaliśmy. Wyszliśmy na dwór. Każdy z nas poszedł na wyznaczony mu z góry posterunek. Na spotkanie — każdy swojemu — szczęściu.

STANISŁAWA ZAKRZEWSKA

Będę z tobą

Nie zanurzaj się w śmierci, w smutku się nie top.
Ze mną jesteś tej nocy, z twoją kobietą.

Idę za tobą naga, niczyja, bosa.
Twój karabin ja także troszeńkę niosę.

A gdy walczysz — me serce u nóg twych kładę.
A gdy kule nad tobą — mam usta blade.

A gdy płaczesz, ja z tobą płaczę za wolność.
A gdy pragniesz już umrzeć—krzyczę: nie wolno!

A gdy leżysz i raną krwawą się jarzysz,
Ja leżę twarzą w piasku obok twej twarzy.

A gdy w śmierć się znużonem czołem nachylisz,
To śmierć twoja i moja tej samej chwili.

JAN HUSZCZA

Apostrofa

Czekająca przy oknie, wierząca, że kiedyś
mąż na ścieżce się zjawi, mijając rezedy —
nie wiem, jak ci powiedzieć, że jesteś już wdową,
w jaką wtulić muzykę trujące to słowo...
W suchym trzasku wybuchów piekielny świt [rzęził,
ziemię wzbijał ku niebu i kruszył gałęzie.
Mąż twój w hełmie żelaznym nad jezioro wyszedł
i tam został na brzegu i tam upadł w ciszę.
Czy szepnął co padając, stygnący w legendę,
ja już dziś nie pamiętam i mówić nie będę...
Lecz, wdowo najsmutniejsza, synek ci dorasta,
ocalony w pociągach czy w płonących miastach.
To dla synków i córek, to dla nich, jedynych,
żeby, gdy burza przejdzie, mogli żyć bez winy
architekci przyszłości, konstruktorzy szczęścia
w świat idący z uśmiechem, bez miecza i pięści.

MIECZYSŁAW JASTRUN

Poezja i poetyczność

Kiedy młodzi chłopcy czytają w szkole scenę pożegnania Hektora z Andromachą, pozostają z reguły obojętni. Warto zastanowić się nad przyczyną tej obojętności u wrażliwych skądinąd uczniaków, wzruszonych widocznie np. sceną pożegnania Alfa z Aldoną. Oto bohater trojański, płacząc nad przyszłem zniszczeniem Troi, które już widzi nieuchronnie w duszy, opłakuje nie tyle śmierć ojca, matki, rodzeństwa, nie tyle ojczyzny zagładę, ile dolę żony, gdy w Argos będzie wodę nosiła jako niewolnica. Homer czytał z nieubłaganą prawdą w duszy Hektora, wiedział, że w chwilach decydujących, na granicy śmierci, pozostaje nam zawsze jakieś jedno najsilniejsze uczucie, w którem streszcza się cała nasza miłość świata. Homer nie bał się, że ujawniając tę prawdę pomniejszy wielkość swego bohatera. Ale młodzieniec, który naczytał się Sienkiewicza, nie pogodzi się nigdy z takim obrazem bohatera. Także dorośli smarkacze nie mogą wyobrazić sobie literatury bez kłamstwa idealizującego patosu i krzepy na dodatek. Homer nie zna kłamstwa; współwędrowcom Odysa (na ten epizod zwrócił uwagę Huxley) każe po stracie towarzyszy najpierw najeść się porządnie, a później dopiero wylewać łzy żalu. Który z pisarzy nowoczesnych — zapytuje pisarz angielski — nie ozdobiłby tej sceny naprzekór prawdzie życia? Który miałby odwagę tak ją przedstawić?

W popularnem odczuciu poezji prawda życia, niczem nie zasłonięta, jest zaprzeczeniem poezji. Romantyzm, mimo swych genjalnych odkryć w dziedzinie psychologji, zbyt często posługiwał się ową mile widzianą zasłoną. Nawet poezja miłości Alfa i Aldony, mimo zbliżeń do Homera, odbiega, naskutek egzaltacji i wzgardzenia realjami, od ludzkiej prawdy pożegnania Hektora z Andromachą, przerywając śpiżowy tok poematu. Również miłosna spowiedź księdza Robaka wydaje się być bezwiednem ustępstwem na rzecz epoki Byrona, w dziele, godnem Homera.

Symbolizm, dokonawszy cudów w zakresie detalów, nie umiał stworzyć nieskłamanego, pełnego człowieka. Nie dokonał tego także impresjonizm, nawet impresjonizm Prousta. Człowiek Prousta jest jak krajobraz, drobiazgowo wykonany w szczegółach, lecz niepokonany w całości. Mimo wspaniałych spostrzeżeń cząstkowych, brak wielkiemu pisarzowi francuskiemu, równej potędze natury siły, którą obdarzał swe postacie Lew Tołstoj.

Poetyczna część epopei Prousta chyba najwcześniej ulegnie uwiądowi. A co pozostanie, co już pozostało z „Popiołów" Żeromskiego? Oto granica poezji i poetyczności w prozie powieściowej. W liryce chyba od początku jej istnienia „serjo" miesza się z „na niby", prawda z pozorem, styl ze stylizacją. Przy liryce miłosnej Mickiewicza poematy erotyczne Słowackiego mają wiele z tej właśnie stylizacji. Poetyczność szła zawsze za poezją i zbyt często brano jedną za drugą. Jeśli zestawimy dwa wspaniałe wiersze „Do matki Polki" Mickiewicza i „Dedykację" dla Warszawy Słowackiego, stajemy zdziwieni. Tam szereg faktów łączy się z potężnym wyrazem, pozbawionym jakiejkolwiek ozdoby, tu wspaniały kształt poetycki oparty jest w zasadzie na uroczym, dwuznacznym geście upersonifikowanej stolicy, schylającej się po koronę, czy klękającej przed wrogiem? Ten przykład nie jest prosty i łatwy do spostrzeżenia, bo w obu wypadkach mamy do czynienia z arcydziełem sztuki poetyckiej (są obok arcydzieł poezji arcydzieła poetyczności...), ale kiedy w utworze jednego z mniej głośnych skamandrytów czytaliśmy:

Wędrowiec blady ja. I ból wszechświata
wypiłem z wszystkich strumieni, co pachną,

kłamstwo stylizacji występowało tu ze szczególną wyrazistością. Mickiewicz nazywając młodzieńczą twórczość Słowackiego „kościołem bez Boga" tą lapidarną formułą określał poetyczność jego wczesnych utworów. Słowacki dojrzały zrozumie całą okrutną prawdę tej formuły i wyrzeknie się swych pierwszych poematów dla wyższej, prawdziwszej — poezji.

Kto wie, czy nie należałoby zaliczyć dużej części tego, co dała poezja symboliczna, do kategorji poetyczności. Ukuto przecież wtedy nawet termin dla wyrażenia czegoś niezupełnie na serjo, czegoś zwiewnego i nie jednoznacznego: „nastrój". Nastroje, owe wszystkie przebrania „na niby", maski magów, słowem: stylizacje, cała ta bezwstydna maskarada — nie wolni od niej byli nawet najlepsi poeci okresu — czyż to nie poetyczność czystej próby? Są krwią pisane wiersze Baudelaire'a i Verlaine'a, tak, ale wiemy także ile w nich było magji i szarlataństwa. Wojna obecna obnażyła i ukazała w ostrem świetle wartość maskarady uczuć ich następców: te wszystkie gesty, nie służące do niczego, słowa bez pełnego pokrycia, barwy znikliwsze od tęczy — zdemaskowała teatr pozorów u symbolistów i u większości ich następców.

Kiedy Rimbaud rozbijał na atomy materję poetycką, jego kontynuatorzy (jakgdyby można było kontynuować proces najwspanialszej choćby zagłady) zmieniają jasnowidztwo „Iluminacji" na widowiskowość. Nie byli od niej wolni i nasi nowatorzy. Freudyzm, taumaturgja, surrealizm — w takich skurczach konała Europa między dwiema wojnami. A we wszystkich tych fajerwerkach ginącego świata — oschłość. Poeci, piszący wiersze o końcu świata, fachowcy od rzeczy ostatecznych, wyznawcy nonsensu, wizjonerzy, którzy przewidując nową wojnę światową (nie trzeba było aż wizjonerstwa, by ją przewidzieć) smakowali już przyszłe widowisko „wyrzynanych ludów" — oto w grubych zarysach obraz poetyczności w Polsce ostatnich lat przed katastrofą wrześniową. Zakłamana od stóp do głów „poezja" tego okresu była dla wielu młodych objawieniem nowej krainy; pisano o niej studja krytyczne, układano antologje dla ukazania tej jakoby nowej ery poetyckiej; doszukując się jej źródeł rodzimych w Słowackim, uzasadniając jej nowoczesność domniemanem pokrewieństwem z manifestami Bretona.

Treść społeczna tych wierszy była dostatecznie jawna, ale szanujący się krytycy ze szkoły Brzozowskiego, z jego późniejszego okresu, nie chcieli jej dojrzeć. Nienaświetlenie społecznego podłoża romantycznego mistycyzmu **spod znaku Towiańskiego** przez monografistów tamtej epoki, pozwoliło również krytykom Polski przedwrześniowej nie dbać o te, zbyt dla nich prymitywne sprawy; tyle tylko, że romantyczne terminy Schellingowskie zamienili na pseudonaukowy bełkot idealistycznej krytyki XX wieku.

Możnaby pominąć milczeniem ten smutny okres poezji polskiej, gdyby nie skutki. „Po owocach poznacie je"... Rzeczywiście owoce są gorzkie. Mieszczańska młodzież literacka, w swej większości, mimo straszliwie trzeźwiących lat okupacji hitlerowskiej, nie nauczyła się niczego. Z rozpaczą słucha się dzisiaj — jakby to było zbudzenie z pięcioletniego letargu — tych samych dyskusyj czysto formalistycznych, tych samych nieskontrolowanych jałowych wynurzeń na temat „passeizmu" i „nowatorstwa", zwrotki i wolnego wiersza. Czem żyli? Czem karmili się podczas tych groźnych lat? Karmili się okruchami owego specyficznego baroku pewnego odłamu retorycznej poezji, który nazwałbym *barokiem sanacyjnym*, albo w lepszym wypadku tak zwanej awangardy, przejmując jednak z niej nie jej istotne zdobycze, lecz zaledwie kształt zewnętrzny. Istniał w Warszawie odłam liryków mających ambicję pisania wierszy możliwie nieczytelnych, ciemnych ową ciemnością, za którą nie kryje się nic. W trudnych warunkach konspiracji powielano na hektografie poematy ambitnych wierszopisów, które pretendowały do najgorszego z kunsztów: sztuczności, i osiągały niewątpliwie jedno: były doskonale izolowane od sytuacji politycznej, dziejowej, ludzkiej — kraju, krwawiącego pod niesłychanym w historji dwóch tysięcy lat terrorem. Kraina poetyczności jest bowiem krainą hermetyczną. Niedoświadczonemu łatwo dać się uwieść jej pozorom. Ostatecznie między wierszem, pisanym *całem życiem* autora, a wierszem, *udającym* ważne uczucia, różnica nie jest odrazu uchwytna. Kilka zdań liryku Mickiewicza „Polały się łzy me"..., dwie małe strofki Słowackiego o kartce, która będzie wieki płakała, mają większą siłę liryczną, niż całe poematy innych poetów. Ale aby to naprawdę ocenić, trzeba było samemu żyć, nie tylko przeżywać. Ideał poety, który „przeżywa", **który jest jakoby** cząstką powszechnej woli życia czy życiowego rozmachu, według terminologji Schopenhauera i Bergsona, jest już doszczętnie skompromitowany zarówno na płaszczyźnie sztuki jak i w przekroju historji. Biologizm André Gide'a, czy nawet „Góry Czarodziejskiej" Tomasza Manna, tej powieści zawierającej sporo elementów różnej jakości poezji, poematy prozą Conrada, żeby nie wymieniać więcej — wszystko to obnażyło już swoje korzenie. Hedonizm „Pokarmów ziemskich" Gide'a, maskujący się przeżywaniem etycznem świata — kwintesencja ambitnej poetyczności, Lafcadio z „Lochów Watykanu", prekursor faszyzmu, Hans Castorp i Naphta z „Góry Czarodziejskiej" — to były groźne objawy zbliżającego się kataklizmu, mimo pozorów bezdziejowości. Oto jeszcze jeden kształt poetyczności, kryjącej pod niewinnemi pozorami — dynamit. Autorowie djalogów platońskich, stylizatorzy biblijni (Gide, Valèry, Claudel), dla których w gruncie rzeczy i myśl i moralność były tylko jeszcze jedną przygodą duchową, którą smakowali wykwintnem podniebieniem, jak Gide owoce i napoje w „Nourritures Terrestres", dalej ostatni kontynuatorzy hiperromantyzmu w pojęciu „Romantische Schule" — jeśli jak Aragon, dzisiaj poeta Francji, nie wyrwali się z tego zaklętego kręgu — ugrzęźli w oportunizmie, bliskim zdrady idei człowieczeństwa. Humanizm ich był pozorny, był jeszcze jednem przebraniem poetyczności. A u nas w Polsce?

Dla wielu, jeszcze dzisiaj, poezja jest rozkołysaniem pewnych wzruszeń, które bierze się zbyt serjo w młodości, dla innych jest sprawą tak zwanego nowatorstwa, pojętego najfałszywiej, jako czysta forma, jakby forma taka kiedykolwiek istniała, lub istnieć mogła. Nie to, co łączy, lecz tylko to, co dzieli, staje się godnem śpiewu w tym systemie miernictwa poetyckiego. Jeszcze jeden, dość rozpowszechniony kształt poetyczności.

Nowatorzy, spod znaku Juljana Przybosia, nie zrozumieli dotąd, że to, co z jego poezji oparło się i oprze czasowi, sprowadza się nietyle do kilku sposobów, jemu tylko właściwych, ile do kilku prostych nierozkładalnych już dalej doświadczeń. Można te sposoby powtarzać, lecz niepodobna powtarzać doświadczeń. Prawda takich wierszy, jak „Grób Nieznanego Żołnierza" lub „Łuk", przekonywujący liryzm wiersza „Wieczór" lub z nowszych „W ucieczce", to nie wynik umiejętnych chwytów, lecz obserwacji wielu lat, te wiersze są prawdziwe także w sensie fizycznym, i przez prawdę swoją piękne. Nie tu miejsce na ukazanie wszystkich zalet i błędów tego poety, należy tylko stwierdzić, że wskutek nieodpowiedzialności naszej młodszej krytyki—młodzież, która powołuje się na Przybosia, nie rozumie jego istotnych wartości, przejmując zato zewnętrzne przejawy twórczości autora „Równania serca". Przyboś jest w swych najlepszych utworach przedewszystkiem konkretny. Kiedy czytamy w jego wierszu „Gwiazda": „Niech zważy mnie w odlocie z urwiska orzeł, kotwica przepaści"!, to w kontekście całego utworu obraz ten ma lapidarność i prawdę metafor z „Sonetów krymskich". Tych rzeczy nie widzą młodzi, naśladują natomiast gładko pewne jego utarte chwyty. Także łączenie poetyki Przybosia z prowincjonalną poetyką Czechowicza jest grubem nieporozumieniem.

Większość poetów zastała wojna nieprzygotowanymi do udźwignięcia jej ciężaru w słowach. Ich narzędzia były kruche, wysubtelnione, drobiazgowe i niecelne. Cała nieużyteczność sztuki następców symbolizmu ujawniła się ukazując pustkę tego kierunku, zakochanego w sobie.

Wielu spośród tych Narcyzów (choćby im było na imię Cocteau, o naszych lepiej nie mówić) nie oderwało się dotąd od łudzącego zwierciadła. Któż z miłujących poezję, podczas tych strasznych lat nie odwracał się od nich, by czytać na nowo Mickiewicza, niektóre wiersze Słowackiego lub Norwida? Komu nie objawiła się — niektórym może po raz pierwszy — potęga „Dziadów", „Pogrzebu kapitana Meyznera", „Johna Browna"?

Wielka emigracja znów przemówiła do narodu wygnańców, odżyła, znalazła raz jeszcze potwierdzenie. Dzisiejsza emigracja poetów, którzy powędrowali na Zachód, usiłuje niekiedy nawiązywać do swej wielkiej poprzedniczki. Lecz kiedy wspomina kraj lat dziecinnych, nie ma siły ewokacji przeszłości — zresztą jakiej przeszłości? Kiedy chce wyrazić uczucia tych, co zostali pod okupacją wroga, uderza w fałszywą strunę: z jednej strony kwietyzm proustowski swojskiego chowu, uroki dworku wiejskiego w nowem wydaniu — u Balińskiego (tom: „Wielka podróż"), z drugiej — makabryczna groteska („Lekcja") lub programowa „Modlitwa", tylko w zakończeniu, które mówi o przyszłym powrocie emigrantów do kraju, dająca pełny ton poezji — u Tuwima. Miarą Pola i Słońskiego brzmią dobitne, autentycznie żołnierskie wiersze Broniewskiego.

Pisarze, którzy powędrowali na Wschód i później wstąpili do armji polskiej, zajęli odrazu postawę czynną. Ich pisarstwo z natury rzeczy miało charakter użytkowy. Ale ta twarda szkoła uczyniła z Adama Ważyka poetę rzeczywistych zdarzeń, świadomego stających się dziejów. Dojrzałość tego poety ujawnia się w kilku najlepszych jego utworach w oszczędności i celności środków wyrazu. Ważyk uczył się długo precyzji i proporcji u pisarzy francuskich, by przezwyciężając liryzm indywidualistyczny dopracowywać się postawy poety historycznego momentu. Podobną rolę co liryka Broniewskiego, jedynego poety-żołnierza emigracji zachodniej, spełniają wiersze Jerzego Putramenta, poety, który wyrósł w szeregach Wojska Polskiego, walczącego na froncie wschodnim.

Raz jeszcze w czasie tej wojny, uwypukliła się ścisła łączność zjawisk życia, historji, moralności ze zjawiskami poezji. Stary to problem w dziejach poezji polskiej. Hrabia Henryk, opętany przez demona poetyczności, ujawnił swą nicość także na scenie dziejów. Mickiewicz odrzucił wszelką poezję pisaną dla prawdy poezji żywej. Tylko urodzeni parnasiści i stylizatorzy nie mają nigdy skrupułów. Poeta, który na widok walących się katedr chce schronić się w czterech rymach sonetu (Wierzyński) i poeta piszący w „Generalgouvernement", który w opisie bombardowania operuje obrazami z dziedziny zwierzęco-seksualnej — to jeszcze jeden przykład, tym razem zawstydzającej i groźnej poetyczności. Wojna zniosła ćwierćtony, zabiła drobnoustroje życia duchowego, ukazała nieznane perspektywy historyczne, uprościła i zubożyła pozornie, w istocie wzbogacając tych, którzy zdołali uniknąć rozbicia wewnętrznego, więcej: zdołali się przemienić, aby jej sprostać.

Poezja, jeśli nie ma być zabawką pięknoduchów, musi tę prawdę urzeczywistnić: pisać można tylko całym sobą, doświadczeniami całego życia, nie cząstkowemi uczuciami. Pisać można tylko wtedy, gdy się ma w sobie współczesność. Jaką współczesność?

„Miał on dziwną współczesność — pisał Norwid o Słowackim — i dlatego może właśnie współcześnie był niepojmowany. Współczesność albowiem jest dwojaka". W czasie represyj politycznych w roku 1836, w Warszawie — taki jest dalszy tok myśli Norwida — Słowacki z drugiego końca Europy „Anhellego" ojczyźnie przysyłał, podczas gdy w salonach warszawskich życie szło zwykłym trybem — w tej drugiej potocznej współczesności, która nie widzi i nie pojmuje. „Słowacki miał tę pierwszą, bez której poeta jest tylko kaligrafem lub notarjuszem".

I dzisiaj więcej jest kaligrafów i notarjuszy niż pojmujących współczesność pisarzy. Malraux i Aragon zapowiadają swoją twórczością i czynem nowy typ pisarza „mającego współczesność" po pisarzach, mających tylko „formę". Sztuczne oddzielenie zagadnienia tak zwanej „formy" od „treści", nie istniejące w epoce romantycznej, także u nas, gdy Polska kroczyła w szeregach postępu, gdy imię jej rozbrzmiewało na barykadach Wiosny Ludów, zaczęło się w okresie dekadencji literatury jako proces równoległy do uwstecznienia w życiu społeczno - politycznem narodu i doszło do szczytu w Polsce po pokoju wersalskim. Ani jeden z ówczesnych kierunków literackich nie wytrzymał próby czasu. Rozsypały się w proch, przyjmowane z początku poważnie, tomy prozy dziwacznie stylizowanej, a tak bezsilnej, że nie zdołała wprowadzić w świadomość narodu ani jednej postaci tak żywej, jak np. kreacje Prusa czy Orzeszkowej. Także poezja tego okresu chętniej zajmowała się krajobrazem i maszyną niż człowiekiem. Naiwne teorje literacko-industrjalne np. Tadeusza Peipera, nieoparte na żadnej poważnej konstrukcji myślowej, nie związane z ruchem mas, rozwiały się po niewielu latach. Zostało nieco pięknych wierszy lirycznych i to zarówno u „skamandrytów" jak i u „awangardy".

Mówić o zadaniach, jakie stoją przed pisarzami nowego okresu, który rozpoczynamy? Na nic nie przyda się stawianie sobie zadań. Literatura musi wyrastać z nieprzymuszonej woli twórcy. Idee mogą i muszą żywić literaturę, ale nie mogą jej stworzyć. Równie daleka od abstrakcyjnej, wymarzonej przez pięknoduchów krainy czystości, jak od użyteczności bezpośredniej, inne ma zadania niż publicystyka, z którą wciąż jeszcze mieszają ją politycy. Szerokie masy należy uczyć, a wtedy nie trzeba będzie „obniżać poezji". Zrezygnować z najwyższych osiągnięć sztuki — to zabić ją. A wiemy już, że można ją zabić także przez uduszenie wśród kwiatów. Poeta musi chwytać i utrwalać także to, co jeszcze nie stało się myślą. I w tem jest niebezpieczeństwo. Ale nadewszystko musi wyrażać nie piękno pozorów, lecz piękno prawdy. Jak poeci epoki symbolicznej dojrzewali w samotności, tak poeta współczesny wyrośnie ze wspólnoty. Niema powodu sądzić, by ta forma człowieczeństwa nie miała być pełniejsza.

Według znanego określenia Norwida: „Narodowy artysta organizuje wyobraźnię, jak naprzykład polityk narodowy organizuje siły stanu".

Jest to najwyższa, dzisiaj szczególnie ważna, sprawa poety, lecz jest zapewne do spełnienia na innej drodze niż ta, którą nie od dzisiaj zalecają pisarzom politycy i publicyści. Tylko dzieła bronią języka i tylko dzieła legitymują pisarza.

Lotnik polski przed startem

fot. Wł. Forbert

Aristide Maillol

Przed paru tygodniami zginął we Francji w katastrofie samochodowej rzeźbiarz Aristide Maillol, duchowy spadkobierca greckich twórców terrakot i średniowiecznych francuskich kamieniarzy, którzy zdobili katedry, spadkobierca Jana Goujon i Germain Pilon — jeden z wielkich rzeźbiarzy francuskich.

Maillol urodził się w roku 1861 w Banyuls-sur-Mer, tuż nad granicą hiszpańską. Od dwudziestego pierwszego roku życia pracuje w ciągu lat pięciu u Cabanela, ulegając równocześnie czarowi sztuki Gauguina; pod wpływem jego dekoratywnej wizji tworzy przez pewien czas dywany, potem bierze się

Maillol: Postać chłopca. Bronz.

do rzeźby w drzewie i glinie, kuje w marmurze i po latach, latach pracy wyrasta z niego wielki Maillol.

Kiedy była mowa o współczesnej, francuskiej rzeźbie, dwa nazwiska zwykło się łączyć — Maillola i Despiau. Byli to nie tylko dwaj najwięksi współcześni rzeźbiarze, ale równocześnie, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, reprezentanci dwóch nurtów, które płyną poprzez dzieje sztuki francuskiej.

Nurt pierwszy, nurt Maillola, w sztuce greckiej bierze początek i zasycany „idealistycznemi“ tendencjami rozlewa się po francuskiej ziemi szeroko; prąd drugi wyprowadzić można z jednej strony z rzymskiego naturalizmu (przecie sztuka Francji była długo sztuką gallo-rzymską), z drugiej zasilało go tak sąsiedztwo naturalistycznej północy (Niderlandy i kraje niemieckie), jak i pierwiastki rdzenne. U Despiau uzewnętrzniły się francuskie zainteresowania jednostką, nie typem.

Maillol jest dziś pozycją tak znaną i opisaną, że do komunałów należy mówić o tem, że Maillol to Grecja, że twórczość jego to jeden z najpiękniejszych kwiatów kultury śródziemnomorskiej. Bo przecież to są oczywistości; dosyć Maillola zestawić z którąkolwiek z cudnych terrakot greckich, by uderzonym zostać pokrewieństwem wizji, nie podobieństwem tylko. Gdyby nie Grecja, sztuka Maillola nie wzniosłaby się może tak wysoko, ale jej charakter nie byłby pewno inny. Grecja dla niego była piastunką, była nauczycielką, w jej objęciach czuł się bezpiecznie, jej nauk słuchał z ufnością.

Przyjrzyjmy się pracom hellenizujących Niemców, jakiegoś Zutta czy Hildebranda, zestawmy je z pracami Maillola — co za różnica!

Maillol - Grek jest przecież nie tylko uczniem skromnych a wielkich terrakocistów greckich, uczniem wielkich rzeźbiarzy czwartego, piątego stulecia, Maillol jest także wspaniałem ogniwem łańcucha sztuki francuskiej, jest nie tylko zamkniętą całością, jest cząstką również.

Dwa wyraźne nurty płyną i poprzez średniowieczną rzeźbę francuską, tak romańską, jak gotycką. Maillola odkrywany bez trudu w „Madonnach“ z Reims, z Chartres, z Amiens, w figurach świętych zdobiących portale, w posągach uśmiechniętych aniołów. I one wszystkie i rzeźby Maillola powstały z marzenia o pięknym, wyidealizowanym typie człowieka.

Jakże krzepiącą dla Francuza jest możność czynienia takich odkryć, ileż sił dodaje świadomość, że trudy jego są oparte o jakąś wielką tradycję, że ma za sobą całą falangę wielkich poprzedników, że nie jest rośliną wyrosłą na pustkowiu.

Patronują Maillolowi poprzez cztery wieki przedziału italjanizujący rzeźbiarze szkoły z Fontainebleau; „Djana“ Jana Goujon jest starszą, smukłą siostrą jego kobiecych figur, a i wersalskie nimfy Girardon zrodziły się ze wspólnych z Maillolem tendencyj. Maillol w pomniku poświęconym pamięci Cézanne'a, posągu Wenus z naszyjnikiem, dziesiątku figur kobiecych, w całym szeregu dzieł, tworzy pewien kanon, pewien typ, tworzy jakąś ludzkość bardzo żywą, ale żyjącą jakby życiem zbiorowem, nie indywidualnem.

Kuł on swoje marmury przeważnie nie w bezpośrednim kontakcie z modelem, tworzył je z pomocą rysunków (tylko rysował przed naturą). Jego forma jest bardzo uogólniona, jego akty noszą tak bardzo wspólne pomiędzy sobą piętno: kobieta Maillola, to właściwie wciąż niemal jedna kobieta.

A oto leży przed nami fotografja iście donatellowskiego studjum aktu młodego chłopca. I odkryta oto zostaje tajemnica wielkości Maillola — jest pomiędzy jego „idealistyczną“ rzeźbą a naturą najściślejsza łączność; jego uogólniona forma zawsze pulsuje życiem, bo artysta, by ją w takiej postaci móc stworzyć, zanalizował naturę, zanalizował człowieka od

Maillol: Postać kobiety. Gips

powierzchni do rusztowania wnętrza, przegryzł się przez wszystko i wszystko poznał — stary mędrzec siwobrody.

Widziałem swojego czasu w Warszawie, w salach IPSu wystawę współczesnej rzeźby francuskiej. Był to wspaniały zespół, jakiego nigdy nie widziałem w Paryżu. W dziełach tak Rodina jak Maillola, Despiau, Drivier i Vlericka uderzała uczciwość wobec natury, pełna pietyzmu i uległości obserwacja.

Za rozumną, wytrwałą miłość natura odpłaca tak jak odpłaciła Maillolowi. W jego wielkiej formie uogólnienia powstają z form drobnych, zespolonych tak ściśle myślą plastyczną, że odtąd jedną nierozerwalną całość tworzą dla widza, całość grającą cudnie. Gra powierzchnia i pulsuje wnętrze, bo myśl rzeźbiarza przeniknęła do głębi, myśl posuwająca się u Maillola w procesie tworzenia od powierzchni ku wnętrzu (wizji jego dużo bardziej odpowiadało kucie w kamieniu niż lepienie z gliny, to znaczy odejmowanie, nie dodawanie).

Jest w tem ogarnianiu całości mistrzostwo i jest równowaga, z której promieniuje spokój.

Jerzy Wolff

Pierwsza wystawa Z.Z.A.P. w Lublinie

To wcale nie wszystko mieć talent, mieć oko, nie wszystko radować się, że plama chlapnięta na płótno z rozmachem, od pierwszego ataku gra; trzeba rękę powściągnąć, mieć serce gorące, a zimną głowę, trzeba umieć przekreślić najwdzięczniejszą partję, jeśli barwna plama, pozornie w płótnie najważniejsza, od całego sąsiedztwa oderwana, lata gdzieś poza płaszczyzną.

Właśnie **Wł. Filipiak** ma talent, ma duży temperament malarski, odczuwa się w jego obrazach radość tworzenia, odczuwa się, że go malowanie bawi (Renoir mówił, że gdyby nie to, nie malowałby wcale); to dobrze, tak powinno być, ale równocześnie trzeba temperamentowi cugli, trzeba talentowi dyscypliny, żeby artysty nie poniósł temperament, jak rozhukany koń, tam dokąd on sam nie powinienby chcieć jechać i gdzie my za nim wcale nie chcielibyśmy biegnąć.

W cuglach, pięknie trzymają swoje wierzchowce bracia **Mierzejewscy.** Widać po okresie dawnego „kapistowskiego“ rozruszania płótna, przyszła niektórym młodym tęsknota za powściągliwością barwną. Rozbujaną swoją wyobraźnię zamknął Andrzej Mierzejewski w bardzo wąskich chromatycznych ramach i wyobraźni wcale się przez to źle nie dzieje.

Zenon Kononowicz gasi szlachetnie niektóre zestawienia w swoim „Akcie“, płótno jest jak spatynowany kilim; materja dla Konowicza typowa, zżyłem się z nią na przedwojennych salonach IPS-u. Starych znajomych witamy z radością, do nowych odnosimy się czasem nieufnie, — tacy nowi znajomi dla mnie to Kononowicza „Przy maszynie“ i „Kwiaty“; materja tu inna niż w akcie, postępowanie malarskie mniej szlachetne, barwa już nie tkwi tak w płótnie, nie trzyma się tak tła.

Kononowicza malarstwo znam od lat dwunastu, oddawna także znam malarstwo **Wandy Arlitewicz - Młodożeńcowej** Do dwóch czy trzech prac wystawionych wyobraźnia moja sumuje dziesiątki płócien dawnych, drogi ich rozwoju nie są mi tajemne. Wiem, że „Pejzaż z Warszawy“ Młodożeńcowej jest typowy dla jej ostatnich lat przedwojennych, wiem, że od dawnej analizy i dywizjonizmu barwnego w ładnych „Kopaczkach“ przed paru miesiącami przeszła do syntezy barwnej, do operowania większemi kolorowemi masami.

Przed „Portretem“ **W. Symonowicz - Mierzejewskiej** czy wobec „Martwej natury“ żal mi, że nie znam więcej jej prac, bo się rozsmakowałem w zestawieniu niebieskiej draperji, żółtozielonych jabłek i szarego tła, bo mnie drażni wyrugowanie zupełne z „Portretu“ elementu zimnego. Tajemnicą dla mnie jest brak tu zasadniczej w malarstwie opozycji zimnych i ciepłych tonów, podczas kiedy w „Martwej naturze“ ta opozycja tak ładnie jest wyzyskana. Gdyby artystka wystawiła nie dwa, ale dwadzieścia płócień, wiedziałbym... O losie, smutny losie wystaw zbiorowych!

Nawet cztery prace, to już ilość, która pozwala lepiej zorjentować się w skali, jaką dysponuje dany artysta. Gdyby **Aleksander Rafałowski** wystawił tylko portret gen. Berlinga i gdybyśmy mieli sądzić go z tej jednej pracy, sąd nasz wypadłby zupełnie inaczej niż teraz, kiedy z oficjalnym portretem zestawić możemy pejzaż ze stron, gdzie formowała się pierwsza dywizja, czy pejzaż spod Lwowa. W pierwszym z nich cała górna część płótna ma ładną płynną materję, drzewa wmalowane są w tło, odczuwa się swobodę,, szczerą obserwację natury. Biorą mnie bronzy, oliwkowe zielone, delikatny błękit nieba. Ładny jest Rafałowskiego ołówkowy profil rosyjskiego chłopa, o delikatnej, wrażliwej kresce.

Rysunkami były wypełnione dwie salki wystawowe i rysunek w pokazie nie mniejszą odgrywał rolę niż malarstwo, — może to znak czasu, może przypadek, nie wiem; za lat kilka, kiedy z pewnego oddalenia spojrzymy na to, odpowiedzieć przyjdzie łatwiej.

Czemu dobrowolnie skazywać i siebie i widza na niebezpieczną monotonję wciąż jednego motywu siedzącej na jednem tle postaci, jak to czyni **H. Krajewska?** Czemu to samo czyni **Juljusz Krajewski,** używając dość monotonnej techniki ołówkowej, która w granicach tej samej kompozycji sprowadza do jednego niby mianownika teren na pierwszym planie i jakieś drzewa na drugim? Można ignorować różnice przedmiotowe, ale nie sądzę by można to uczynić tak absolutnie, nie można przekreślać różnic planowych, kiedy się nota bene nie tworzy sztuki płaskiej. Jeśli nie chcemy naszych założeń rozbudowywać wszerz, to znaczy, jeśli — w malarstwie naprzykład — ścieśniamy się dobrowolnie do wąskiej gamy barwnej, rozbudowujmy kompozycję, idźmy na bogactwo niuansów, modulujmy, dążmy do bogactwa, koniecznie do bogactwa.

Jerzy Mierzejewski w swoim szarym, ołówkowym portrecie kobiecym starał się właśnie tak przeciwstawić twarz ludzką reszcie płaszczyzny; owo przeciwstawienie, to plastyczny kapitał procentujący tem bardziej, że idziemy tu po linji równoległej z naturą.

„Nie jest się nigdy zbyt uległym naturze“ — mawiał Cézanne — „tylko jest się mniej albo więcej panem swojego modela“.

Myślałem o tej cezannowskiej sentencji, patrząc na dowcipne ilustracje do „Klubu Pickwicka“ **Ignacego Witza.** Gdyby ich autor napełnił swoje oczy naturą, gdyby mógł to uczynić, nie byłyby psuły kompozycyjek pewne chwiejności w znaczeniu formy niektórych dłoni, rysów niektórych twarzy. Trzeba albo dużo rysować przed naturą, albo dużo na naturę patrzeć.

Władysław Filipiak: Dzieci

Wszystko artyście wolno, wszystko w sztuce można, byle rezultaty były dobre, bo tylko rezultat rachuje się w sztuce.

Bardzo skromnemi środkami d chodzi w grafice do ładnych rzeczy **Hieronim Skurpski.** Jego małe akwaforty przypominają nastrojem prace graficzne Karola Larischa, taką jakąś pełną wdzięku prostotą, pełną wdzięku młodzieńczą nonszalancją.

Byli na wystawie jeszcze inni, o których chciałbym napisać, gdyby nie paniczny lęk przed ułożeniem recenzji w formie katalogu z komentarzami; bardzo to przykra forma, którą zanudzano nas w przedwojennej prasie warszawskiej. Chyba niema nic straszniejszego, niż nuda i recenzent, który się nudzi pisząc, i publiczność, która się nudzi czytając.

Poza już wymienionymi wystawili swoje prace: Z. Gąsiorowski, J. Jurkiewicz, B. Krauze, R. Kulm, J. Kurzątkowski, J. Miłosiowa, A. Nowiński, I. Rzymowska, St. Teisseyre, P. Turowska, Z. Waśniewski, J. Zaruba.

Na dziś tylko taki suchy wykaz, ale mam nadzieję, jeszcze nieraz spotkamy się na wystawach Z. Z. A. P. i okazji do pisania nie zabraknie.

Jerzy Wolff

NOWA WYSTAWA PLASTYCZNA

W 26-rocznicę niepodległości Polski nastąpi w Muzeum Lubelskiem uroczyste otwarcie wystawy prac malarzy, znajdujących się w Lublinie, pod nazwą „Polonia“. Tytuł ten wyraża specyficzny charakter wystawy, obejmującej w formie szkiców czy nawet notatek charakterystykę plastyczną krwawych lat wojny i martyrologji narodu. Wystawę organizuje Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków. W wystawie biorą udział: Władysław Filipiak, Jarosław Kawa, Zenon Kononowicz, Helena Krajewska, Juljusz Krajewski, Bohdan Krauze, Juljusz Kurzątkowski, Zbigniew Lengren, Andrzej Mierzejewski, Jerzy Mierzejewski, Felicja Potyńska, Aleksander Radziewicz, Aleksander Rafałowski, Hieronim Skurpski, Walentyna Symonowicz, Stanisław Teisseyre, Henryk Tomaszewski, Marjan Tomaszewski, Ignacy Witz, Zofja Woźna i Jerzy Zaruba.

MISCELLANEA

Nowy Norwid

Książka, o której mówię, ukazała się w Warszawie na półkach księgarskich (ściśle: u Arcta w antykwarjacie) na dzień przed powstaniem, 31 lipca 1944 r., w nakładzie 300 egzemplarzy. Wydanie jej było zapowiadane zaufanym już znacznie wcześniej, lecz nawał pracy w drukarniach i introligatorniach uniemożliwił dotrzymanie ustalanych terminów. Miłośnicy Norwida rozkupili natychmiast kilkadziesiąt egzemplarzy, większość nakładu jednak musiała ulec zniszczeniu w składzie głównym; jest to więc rzadkość bibljograficzna.

Tytuł zbiorku brzmi: „Gromy i pyłki". Zawiera on około 30 wierszy, z których 2 wydrukowane po raz pierwszy z autografów, kilka — to nieznane wersje utworów dawniej znanych, jak np. znana „Dedykacja" (wiersz o Warszawie) z nieznanem dotąd ogółowi zakończeniem. Reszta składa się z wierszy drukowanych już przedtem w czasopismach lub w przypisach do wydań Norwida, nigdy jednak nieumieszczanych w wydaniu książkowem. Forma wydania dziełka — druk antykwą Półtawskiego z użyciem (niefortunnem dla piękna książki, wydanej skądinąd niezwykle starannie) kursywy obok czcionki normalnej — wzorowana jest na ostatnich edycjach Miriama. Na końcu znajdują się przypisy do każdego utworu, tak samo jak u Miriama, styl tych przypisów jest miriamowski. Papier bezdrzewny, prążkowany, doskonałej jakości, podobizna 2 autografów i 3 rysunków oraz reprodukowany po raz pierwszy portret całego Norwida (nie, jak dotąd, tylko głowy), dopełniają obrazu tej pięknej książeczki.

Zarówno pierwodruki, jak i pierwodruki książkowe należą w przeważającej mierze do cyklu **Vade mecum.** W tem miejscu każdemu miłośnikowi Norwida nasuwa się gorące życzenie: oby wydany został wreszcie cały cykl **Vade mecum.** To co z niego ocalało, jest dotąd rozproszone po tak trudno dostępnych książkach jak ósmy tom „Chimery", czy omawiane wydawnictwo. Wiersze drukowane w 8 tomie „Chimery" zostały pominięte przez Piniego w jego wydaniu Norwida (niestety, jak dotąd, jedynem roszczącem sobie tytuł kompletnego — Miriam już chyba nie ukończy swego ostatniego wydania „Pism dotąd odszukanych"). Utwory te wnoszą wprawdzie niewiele nowych momentów do charakterystyki Norwida, nie należą do najlepszych, ale i w nich widoczny jest lwi pazur poety. Przedwczesny wybuch powstania w Warszawie zniszczył tę książkę podobnie jak i wiele, wiele innych wartości kulturalnych. Wydawca tego zbiorku (nazwiska nie możemy jeszcze ujawnić) zamierzał wydać uzupełnienie miriamowskiego dwutomowego zbioru korespondencji Norwida, ale cóż — wprawdzie ruch wydawniczy pod okupacją niemiecką w Warszawie istniał, nie zawsze jednak wydawcy umieli znaleźć dostęp do drukarni szybko pracujących. W podziemnej Warszawie panował także znany nam zbyt dobrze brak papieru i fachowych pracowników.

„Gromy i pyłki" nasuwają pewne wspomnienie. Oto podczas pierwszej okupacji niemieckiej Warszawy, w roku 1915, Miriam wydał jako druk prywatny na czerpanym papierze w 150 egzemplarzach trzy utwory Norwida: „Wędrowny sztukmistrz", „A Dorio ad Frygium" i „Pan Emil na Gozdawiu". Nie wiem, kto korzystał wtedy z tego wydawnictwa, ale nie wątpię, że musiało być równie gorąco oczekiwane, jak to obecne: w chwilach najbardziej tragicznych zmagań, w chwilach bezwzględnej walki niszczącej dorobek kulturalny pokoleń i narodów, jest myśl norwidowa szczególnie pociągająca.

Ruch wydawniczy Polski Podziemnej obejmował literaturę propagandowo-uświadamiającą i fachową, dzieła pisarzy i poetów współczesnych, ale z dawnych właśnie Norwid był tym, którego wspominano na nowo, którego czytano i drukowano, naśladowano i przemyśliwano. W chwilach przełomowych myśl, zwłaszcza młodych, sięgała do najgłębszych utworów najlepszych mistrzów — wśród nich w pierwszym rzędzie do Norwida.

Wacław Iwaszkiewicz

„Uciekła mi przepióreczka" w teatrze lubelskim

Ileż wspomnień ciśnie się po widzeniu „Przepióreczki"... Widziałem tę komedję Żeromskiego właśnie gdzieś w pobliżu Kurozwęk, Porębian, w krainie polskiej, może najbardziej ukochanej przez Żeromskiego — w Sandomierzu.

Było to w lecie 38 roku, w piękny i ciepły wieczór lipcowy. Osterwa zajechał ze swoją grupą i w maleńkiem gimnazjum sandomierskiem, w budynku, który drzewa od frontu osłaniały zielonością, a o który obecnie odbijają się ostre echa strzelającej na miasto artylerji niemieckiej — urządził przedstawienie. Jakaż to była atmosfera!— Zeszli się mieszczanie, inteligencja, młodzież gimnazjalna, gdzieniegdzie zaświtała i twarz chłopska, uważna i poruszona. Wrażenie z pierwszego aktu odniosłem raczej nikłe, niedobre. Ten typowy Żeromski ze swoim idealizmem, jeśli idzie o wieś — z księżniczką, która jest dobra i która ofiarowuje majątek dla celów wyższych — te marzenia o zamkach, o cudach, to było coś nie dla mnie... Przyznam się — nudziłem się, rzecz wydała mi się fałszywie postawiona.

Skoro wszakże nadszedł drugi akt, zmieniło się wszystko, byłem wzięty, poruszony. Mocne akcenty namiętności, jakie wydzierają się z ust Smugoniowej, tej prostej kobiety, ślepej, kierowanej tylko uczuciem, wstrząsnęły mną. Problem wydał mi się istotny, nawet bardzo istotny. Tak, intuicją kierowany pisarz odczuł duszę tej nauczycielki chłopskiej nawskroś — tęsknotę tych istot do świata, który wydaje im się niedostępny i przepiękny,— ich, prawie w każdym momencie, możliwość przeniesienia inteligenckiego otoczenia nad swoje. Trzeci akt z wspaniałą, gorzką ironją Przełęckiego, z mocnemi akcentami dramatycznemi Smugoniowej dopełniły mojego wielkiego przeżycia teatralnego. W ciszości, wśród największego skupienia składano kwiaty Osterwie, poważnie dziękowano mu za grę. Jakie to było słuszne. Ile wogóle może potęga, genjusz, wewnętrzna powaga i dojrzałość aktora!

Siedząc w teatrze lubelskim, cierpiałem niekiedy, z zażenowaniem zakrywałem oczy, nie wierząc temu doprawdy, co dzieje się. Sztuka z powodu zupełnie niewłaściwego obsadzenia roli Przełęckiego sprowadza się do najgłupszego niemal dramatu miłosnego z lichego filmu. Gdzieś przepadł żar namiętnej, opuszczonej i zawiedzionej duszy kobiecej, gdzieś przepadł cierpki sarkazm Przełęckiego, zaprawiony bólem — zostało to, że pięknemu docentowi zaofiarowała swoje wdzięki najwpierw księżniczka z nieprawdziwego zdarzenia, następnie, że zaofiarowała ciało swoje i wynudzona nauczycielka, chcąca niby grzeszyć, ale jeszcze z bojaźnią w sercu...

Publiczność zdeprawowana najwidoczniej pięcioletniem chodzeniem do strasznych, jeśli idzie o poziom, kin niemieckich, śmiała się w najbardziej lirycznych i bolesnych miejscach. Widać było przecież na niektórych twarzach i skurcz żalu, zawodu i buntu. Nie obwiniam zupełnie publiczności — wina właściwie leży po stronie reżysera. Jeśli pani Malkiewicz, urocza zresztą aktorka, łamie bezustannie ręce, nadużywa gestu, przechyla się wciąż, to już wszystko przepadło. Rola Smugoniowej wymaga wielkiego skupienia wewnętrznego; z tej świetnie postawionej postaci powinna bić prócz uroku prostoty, wielka czystość moralna.

Cóż tu mówić o Przełęckim? Klejer, który dobrze czułby się w roli innej, w tej zaprzepaszczał, utrącał każde zdanie autora i intencję sztuki. Robił Sinobrodego, uwodziciela, lecz ani razu nie drgnęła w jego postaci ostrość inteligencji, jaką obdarzony jest bohater „Przepióreczki" i czar wielki, piękny, gorzki: prawdziwa szlachetność!

Inni aktorzy znośni, a nawet bardzo dobrzy, jak Śródka i Modrzewski.

Pomimo nieudanego przedstawienia pozostaje przecież jedna bardzo mocna pozycja. Dzieje się to dzięki niezwykle prostemu i dobremu ujęciu roli Smugonia przez Śródkę. Oto odsłaniają się rysy dramatu inteligencji, pochodzącej z ludu. Jej żar wewnętrzny, namiętność wiedzy i ciągła niedojrzałość, lęk przed warstwą wyższą społecznie zaprawiony niemałą domieszką nienawiści! Bo Żeromski, mimo idealizowania przeszłości, czuł i przeczuł dramaty polskiego życia naprawdę.

Stanisław Piętak

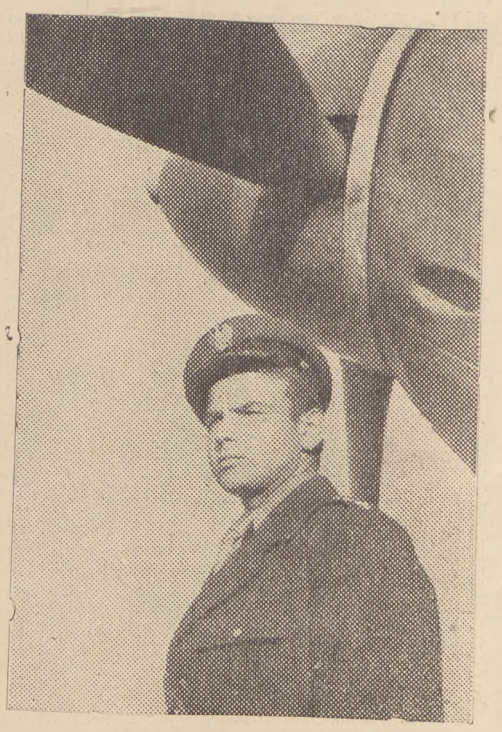

W pierwszym pułku lotniczym „Warszawa"

fot. Wł. Forbert

Słynne obrazy Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem" i „Kazanie Skargi" zostały ukryte przed grabieżczą ręką Niemców. Obecnie wydobyto je z ukrycia. Zdjęcie przedstawia moment wydobywania.

fot. H. Makarewicz

Poranek autorski Juljana Przybosia

29 października b. r. w sali wystawowej Związku Zawodowego Artystów Plastyków odbył się poranek autorski Juljana Przybosia. Pamiętając imprezy artystyczne z przed wojny, stajemy wobec zjawiska nowego. Jeśli wówczas imprezy tego typu odbywały się na marginesie życia społecznego, jakby poza niem, to dziś są jego elementem. Obecność na poranku przedstawiciela PKWN mgr. A. Ostrowskiego przeciwstawność tę uwidacznia. Jesteśmy świadkami jak w chwili, gdy powstaje nowy byt społeczno-państwowy, budowniczy jego, organizując nową wspólnotę, przeznaczają w niej miejsce naczelne dla kultury i jej spraw. W przemówieniu zamykającem zebranie mgr. A. Ostrowski zapewnił zebranych, iż kierownictwo państwowe swój obowiązek kulturalny rozumie i go wypełni, a sztuka, jej sprawy i twórcy mogą liczyć na pełne poparcie.

Nie bez znaczenia i nie przypadkowy jest fakt, iż inicjatorem imprezy poetyckiej jest Związek Plastyków. Artysta-malarz Rafałowski w przemówieniu wygłoszonem na wstępie uwyraźnił tłumnie zebranej publiczności, związek istniejący nie od dziś między plastyką a poezją. W poszukiwaniu nowych własnych dróg poeci i plastycy zmierzali równolegle do jednego celu i jedynie środki, jakiemi rozporządzali, powodowały dystans. Rafałowski przypomniał historję nowoczesnych prądów w sztuce, odwołał się do lat 1920-26, kiedy współzależność i współodpowiedzialność poetów i plastyków były organiczne. Jeśli drogi plastyków i poetów rozchodziły się, to było to świadectwem utracenia jasności widzenia celów ostatecznych sztuki.

Aktualnie wobec przemian rzeczywistości społecznej, kiedy artysta bardziej niż kiedykolwiek powołany jest do roli organizatora kultury narodowej, koniecznością bezwzględną staje się uświadomienie organiczności związku gatunków artystycznych.

W świetle powyższego zaproszenie poety przez Związek Plastyków nabiera szczególnej wymowy. Jest uwyraźnieniem i przypomnieniem naczelnego postulatu sztuki. Juljan Przyboś należy do rzędu twórców-poetów, którzy świadomości związku z plastyką nie zatracili nigdy. W latach 1920-26, kiedy powstawały zręby nowoczesnej kultury artystycznej, autor „Śrub" i „Oburącz" wespół z plastykami występował przeciw passeizmowi, wyrażającemu się w ekspresjoniźmie tak malarskim, jak literackim. Twórczością własną dane mu było zrealizować te postulaty nowej sztuki, o których zwycięstwo współwalczyli plastycy. Nową formą wyrażał nowe doznania. Budował wzruszenie tak, jak się buduje nowy dom, nowy szklany dom, gdzie niema miejsca na łatwe, przeżyte przeżycia. I dzisiaj zwycięstwo jego staje się bodźcem każdej wielkiej ambicji, a tylko takie mają rację bytu. Dla plastyki autor „Półki my żyjemy" jest twórcą zrealizowanego — a wciąż obowiązującego nową sztukę — manifestu o organizacji wzruszenia.

Wojna, przemiany najdogłębniejsze, jakie wywołała ona w psychice narodu, budzi konieczność zmobilizowania dziś wszystkich gatunków sztuki do obrony i odrodzenia kultury. Poezja Juljana Przybosia jest artystyczną odezwą mobilizacyjną.

Słuchając w natłoczonej sali Związku Plastyków odczytywanych skupionym (tak oszczędnym w emocję, jak tylko to jest możliwe) głosem — poematów wojennych, odnosiło się wrażenie, jakby zniknęła granica między nami a poetą, jakby samo doznanie nazwane poezją wyłaniało się z natłoku dni i lat wojennych, z ich drobnych, dojmujących, lecz nieistotnych bólów i organizowało w nas wizję **całej** wojny. Nikt nie jest bardziej od Przybosia oszczędny w efekty. Poezja jego jest zbudowana z samej materji wzruszenia, z samej prawdy artystycznej. Niema w niej nic z tego, co nazywamy poetycznością, strojem, czy też nastrojem. Znane to jest zresztą powszechnie. Oczywistość tego jednak nabrała nowej wagi dla nas, którzy słuchaliśmy go na poranku. Czytając swoje utwory Juljan Przyboś pozostaje nadal w więzi dyscypliny twórczej, w dalszym ciągu walczy z efektem, z urojeniem poetyczności. Poematy „Półki my żyjemy", „Nie zasnę dziś" odczytane zostały tak, że nie było słychać słów, poza któremi powinna znajdować się prawda przeżycia. Sama, prosta, tragiczna dochodziła do nas.

Poeta czytał również na poranku swoje utwory wcześniejsze. Wśród nich znalazły się liryki z „Wgłąb las", „Równania serca", a także poemat ze „Śrub". Oprócz liryk osobistych Przyboś przeczytał kilka poematów związanych tematycznie z wojną hiszpańską, gdzie przeczucie wielkiej wojny narodów tkwi organicznie w konstrukcji utworów. Dziś poematy te odżywają na nowo.

Patrząc na słuchaczy, odnosiło się nieodparte wrażenie, że nagle wzruszenie zamieszkało między nami.

Zbigniew Bieńkowski

W pierwszym pułku lotniczym „Warszawa"

fot. Wł. Forbert

Z walk o Warszawę

fot. K. Kapustiański

Kronika

Sprawa wydawnictw muzycznych. Wydawnictwa muzyczne wymagają specjalnych urządzeń drukarskich, któremi na terenach wyzwolonych narazie nie rozporządzamy. By usunąć jednak najważniejsze braki w dziedzinie literatury muzycznej i rozpowszechnić nową twórczość kompozytorską, Resort Kultury i Sztuki uruchomił wydawnictwo muzyczne, które posługuje się systemem elektrokopji. Niestety, system ten jest dość kosztowny i ogranicza nakład wydawnictw. Dotychczas ukazały się w druku dwa zbiory utworów w układzie czterogłosowym, przeznaczonych na chóry męskie. W pierwszym zeszycie zamieszczono pieśni Tadeusza Chyły, który jako dyrygent Towarzystwa Śpiewaczego „Echo" w Lublinie pracował nad kompozycją chóralną w czasach konspiracji. Drugi zeszyt p. t.: „6 pieśni polskich formacyj wojskowych zagranicą" zawiera m. in. utwory kompozytorów polskich: A. Barchacza i M. Drobnera, napisane w okresie powstawania Armji Polskiej w ZSRR. Pieśni te, pisane do słów A. Ważyka, L. Pasternaka i M. Czanerle, są powszechnie znane i śpiewane przez żołnierzy I-szej Armji. Stowarzyszenia śpiewacze, które chciałyby otrzymać omówione zbiorki, powinny zwracać się do Centrali Wydawniczej przy Państwowym Instytucie Muzycznym im. Moniuszki w Lublinie, ul. Kapucyńska 7.

Reforma rolna, a ochrona zabytków. Wydział muzeów i ochrony zabytków Resortu Kultury i Sztuki zajmuje się zabezpieczeniem zabytków, którym groziło zniszczenie, oraz organizacją muzeów i urzędów konserwatorskich. Jednem z ważnych i aktualnych zadań wydziału jest uchronienie od zniszczenia, bądź wywiezienia, bibljotek, dzieł sztuki, cennych mebli w majątkach poddanych reformie rolnej. W wielu dworach, gdzie dotychczas uprzywilejowane jednostki korzystały z dzieł sztuki, powstaną regjonalne ośrodki muzealne, udostępnione dla całego społeczeństwa. W rezydencjach Potockich w Łańcucie (Rzeszowskie) i Zamojskich w Kozłówce (Lubelskie) grupuje się cenne obrazy i kopje arcydzieł dla przyszłego Muzeum Narodowego. W maj. Żabia Wola (Lubelskie) oddział Wojska Polskiego pod dowództwem kpt. dr. Meinhardta wykazał najdalej idącą troskliwość w kierunku zabezpieczenia cennej bibljoteki w językach polskim i francuskim. Przykład ten świadczący o zrozumieniu dla sprawy kultury ze strony wojska, zasługuje na szczególne podkreślenie. Wobec zniszczenia wielu zabytków wskutek działań wojennych i rabunkowej gospodarki okupanta niemieckiego, władze wojskowe i administracyjne oraz brygady reformy rolnej powinny otoczyć najtroskliwszą opieką pozostałe dobra kulturalne, stanowiące od dzisiaj własność społeczną.

Sztuki polskie na scenach sowieckich. W Komitecie do spraw sztuki przy Radzie Komisarzy Ludowych ZSRR odbyło się posiedzenie Komisji Teatrów Słowiańskich, poświęcone sprawie repertuaru polskiego w teatrach radzieckich. Komisja postanowiła włączyć do repertuaru polecanego szereg sztuk polskich, w ich liczbie „Krakowiaków i górali" Wojciecha Bogusławskiego, „Zemstę", „Śluby Panieńskie" i „Dożywocie" Fredry, „Balladynę" Słowackiego, „Pana Damazego" Blizińskiego, „Różę" Żeromskiego, „Jeńców" Rydla, „Moralność Pani Dulskiej", „Pannę Maliczewską" Zapolskiej. Postanowiono ogłosić konkursy na przekłady sztuk polskich. W najbliższym czasie odbędą się posiedzenia dyskusyjne komisji, poświęcone sztukom polskim: „Karpaccy górale" Korzeniowskiego i „Wielki Fryderyk" Adolfa Nowaczyńskiego. Sztuki wymienione powyżej znajdą się w repertuarze teatralnym już podczas najbliższego sezonu. Inicjatywa komitetu dla spraw sztuki może mieć decydujące znaczenie dla pomyślnego rozwoju wymiany kulturalnej polsko-rosyjskiej.

Większość książek Bibljoteki Polskiej w Paryżu udało się uratować. Niemcy już w pierwszych dniach okupacji dokonali rewizji Bibljoteki i zrabowali sporo książek i rękopisów. Większość rękopisów Mickiewicza była schowana u zaufanych ludzi i dzięki temu została uratowana.

Agencja AFI dono i z Paryża, że znany pisarz francuski André Malraux był przywódcą partyzantów w trzech departamentach — Lot, Corrèze, Dordogne, gdzie ukrywali się Alzatczycy i Lotaryńczycy, zbiegli przed niemiecką okupacją. Obecnie Malraux jest pułkownikiem alzacko-lotaryńskiej brygady, która przybyła w Wogezy w końcu września, aby wziąć udział w walkach o wolność Francji.

Komitet Narodowy Pisarzy Francuskich usunął z organizacji literatów dziennikarzy około 100 osób, które podczas okupacji współpracowały z Niemcami. Między innymi usunięci zostali Abel Bonnard, Pierre Benoit, Réné Benjamin, Chateaubriand, Pierre Dominique, Laroche, Charles Maurras.

Jak donoszą z Francji, w katastrofie samochodowej zginął jeden z najwybitniejszych rzeźbiarzy współczesnych Aristide Maillol.

Pablo Picasso, wybitny malarz francuski, wstąpił do partji komunistycznej.

Laurowo i ciemno

CZOŁG ZA ZĄB

W utworze Tadeusza Peipera „Wezwanie powojenne" czytaliśmy przed 20 laty:

„Świat krwią zmył twarz,
Oczy przetarł cmentarzem, zęby złożył [w szufladzie.

W następnem, zbiorowem wydaniu swoich poezyj poeta po namyśle przekształcił to zdanie w następujący sposób:

Świat krwią zmył twarz,
oczy przetarł cmentarzem, czołgi złożył [w szufladzie.

Już powiedziano to kiedyś, że zmiany wprowadzone przez autora, charakteryzują go najpełniej. Nie mamy nic przeciw wprowadzeniu zmian przez pisarzy w późniejszych wydaniach. Świadczą one niewątpliwie o czujnej trosce artysty, który pragnąłby dzieło swoje doprowadzić do absolutnej doskonałości. Ale pod jednym warunkiem: rusztowanie, na którem opiera się utwór, musi być silne i zdrowe. Tymczasem w cytowanym urywku autor, który chce pięknem zdaniem wyrazić myśl, że wojna się skończyła i świat stracił drapieżność, użył porównań z garderoby bezzębnego staruszka, wkładającego przed zaśnięciem sztuczną szczękę do szuflady nocnego stolika. W drugiem wydaniu zmienił zęby na czołgi, ale to już nie pomogło.

LIRYZM NA BEZDROŻACH

Chochlik rozluźnienia formy i lirycznego upojenia dźwiękiem spłatał złośliwego figla Jarosławowi Iwaszkiewiczowi w jednej ze strof cyklu „Lato 1932".

Prowadzony przez anioła autor wyznaje dosłownie i jawnie:

Lecz ja odchodzę. Czy dobrze czynię
Sam i w ciemności?
Jakgdybym dźwigał jakie naczynie
Pełne wonności.

Boimy się wdać w bliższą analizę czynności autora; tem bardziej w jej ocenę moralną, więc nie odpowiadamy na zagadkowe pytanie poety. Wiemy tylko jedno: żadne namaszczenie i kapłańska powaga nie pokryje potknięć lirycznych w **nie widzianym** przez autora wierszu. Ścisłość i plastyka wyrazu obowiązują poetę nawet w najliryczniejszem zachwyceniu. Już Słowacki, na którego lubi się powoływać autor „Lata 1932", pouczał, że wiersz dobrze napisany nie boi się najwnikliwszej analizy.

mj

PEREŁKA DĘTOLOGJI

Poezja jest mową niezwykłą.

Ta odwieczna prawda bywa często fałszywie pojmowana. Chcąc uniezwyklić język, niedoświadczeni wierszopisowie nadużywają słów - kokietek (np. pereł rosy, korali ust lub jarzębin), słów — kowali (mocarnych ogromów i wichrów nieskończoności) i słów — pęcherzy (wielkość, wielkość i wielkość!) Są to słabostki nie tylko początkujących i amatorów, zdarzają się one także utalentowanym poetom; w okresie osłabienia twórczego uciekają się oni do frazeologji, w złudnej nadziei, że bombastyczny patos osłoni pustkę wewnętrzną.

Ale szeroko rozwarte usta nie świadczą o mocy, słowo rozdęte jak pęcherz nie zastąpi natchnienia. Gwałt nad słowem mści się, dętolog wpada często we własną próżnię.

Przykład takiej zemsty składni nad pustem wielkosłowiem znajdujemy w wierszu zamykającym tomik Kazimierza Wierzyńskiego p. t.: „Wolność tragiczna". Bohater Wierzyńskiego przemawia po śmierci, strasząc karami — niewiadomo kogo. Zagadkę wyjaśniają końcowe zdania „Wyroku pośmiertnego":

Konie moje, zarżyjcie! Wysoki i mściwy
Skazuję was na wielkość. Bez niej zewsząd zguba.

I pomyśleć, że tę klątwę kierowano pod adresem ludzi, a nie koni!

jp

Fraszki

WACŁAW BERENT

Broń mnie Boże od uroku,
Baroku.
Daj kosztować słów dziwoty
Bez pozłoty.
Żywy kamień, drogi kamień
Weź i wreszcie w kamień
Zamień.

IGNACY CHRZANOWSKI

Ze szlacheckim animuszem
Poetyckie rąbał dusze, —
Tę na pół, a tę na ćwierci
Aż do swej tragicznej śmierci.

Z konia ferował wyroki
Godnym ruchem buzdygana,
Polskie w nim krążyły soki,
Zawiesiste jak śmietana.

Katedrowy typ Sarmaty
Wąsa kręcił jak Sobieski,
Że był piękny w każdym geście,
Niech go przyjmie Pan niebieski!

BOLESŁAW LEŚMIAN

Tylekroć wyśmiewana,
Tylekroć naśladowana,
Tylekroć niezrównana
Poezja Leśmiana.
Zapewne trochę pokraczna,
Trochę dziwaczna
Ale...
Wspaniale
Czteroznaczna!

MIRIAM

Norwida wyda!
Norwida
wyda?
Norwida
wyda!
Wyda? nie wyda?
Norwida
wydał!
Tak to się ciałem stała chimera,
A Miriam wrócił pomiędzy zera.

WŁADYSŁAW NATANSON

Patrzał w gwiazdy za oknem,
Słuchał ptaków za oknem.
Śmierć za oknem krążyła,
Z wizytami schodziła.

Prosił biedny staruszek:
— O śmierci, kwita z nami,
Zaśpij w popiele gruszek,
Daj mi gadać z gwiazdami!

Ale ptaszek podsłuchał
I zawołał „ćwierć — ćwierć" —
(Myślał o ćwierci gruszek,
A staruszek, że śmierć).

A więc umarł posłusznie,
Choć nie kwapił się wcale.
Śmierć straciła partnera
W życiu, w gwiazdach, w kabale.

LEOPOLD STAFF

Seraficko i miodowo
Nucisz pieśń o polnym gnoju,
Ponad przekłady przekładasz
Błękitną nutkę spokoju.

A w głębi piersi jednak
Tragiczną wikłasz się dramą,
Żeś zamało jest poetą
Zanadto poezją samą!

WŁADYSŁAW ORKAN

Słuchajcie bracia, przyjaciele,
Nie pany już, obywatele,
Słuchajcie chłopy, Polsko druga,
Czy raczej pierwsza, ta od pługa!
Oto niedługo już, niedługo
Nie pawiem będziesz i papugą,
Ale jak ziemia wstaniesz czarna
Chropawa Polska i mocarna!
Tej Polski chcę, ja co orkanem
minąłem Was a burzą wstanę.
I choć mnie niema między Wami,
Chrzczę Wam tę Polskę memi łzami.

Jan Sztaudynger

Życie artystyczne Lublina w obrazkach

TEATR

na „Przepióreczce" Żeromskiego

LITERATURA

przy ulubionej lekturze

MALARSTWO

na wystawie obrazów

MUZYKA

rys. J. Zaruba

na koncercie muzyki poważnej

Publiczność lubelska

Redaktor: Karol Kuryluk. Adres redakcji i administracji: Lublin, Krakowskie Przedmieście 62, tel. 10-76. Drukarnia A. Szczuki Lublin, Zamojska 12, Wydawca: Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik".